Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 13 marca 1938 r.* Nr. 11



Jej ideał...

MAX DU VEUZIT

3)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

„Najgorsi są ci głusi, którzy nie chcą słyszeć, zacytowałabym jej teraz to soczyste przysłowie, wiedziałam jednak, że nigdy nie przyzna się do popełnionej omyłki. Lepiej więc było nie nalegać. A poza tym pilno mi było usłyszeć coś od niej o mieszkańcach Belle Vue. Wolałam więc jej nie drażnić.

Zaczęła właśnie znowu:

— Więc to Blanka de Saumarte poinformowała cię o Roches Noires.

— Tak, ona.

— Czy nie mówiła ci o cenie ziemi?

— Nie, lecz wiem, że notariusz w Collonges da ci wszystkie żądane wyjaśnienia.

— Mówisz, iż byłaś tam dobrze przyjęta?

— O, ja myślę! Panna de Saumarte była czarująca, zawołałam z entuzjazmem. Poczęstowała mnie herbatą i odesłała powozem do Presec.

— Rzeczywiście, to bardzo uprzejmie z jej strony, zgodziła się babka.

— A gdybyś słyszała jak ona wyraża się o tobie! Z jakim szacunkiem i zarazem z jaką przyjaźnią. Prosiła bardzo, abym od czasu do czasu przynosiła jej wiadomości o twym zdrowiu.

— Trzeba będzie! Przede wszystkim powinnaś złożyć jej wizytę z podziękowaniem.

— Pójdę babciu ,pójdę, gdyż zdaje mi się, że to bardzo dobrze wychowana panienka i z prawdziwie dobrej rodziny, co staje się dziś coraz rzadsze! Czy znasz również jej brata?

— Obłąkanego? Tak, biedny chłopak, znam go. Był to kiedyś człowiek niezwykle inteligentny... cieszył się wspaniałą opinią... wszyscy jednogłośnie uznawali w nim człowieka o nieprzeciętnym umyśle...

— Mówiła mi o tym jego siostra.

— O, była ona dawniej niezwykle dumna z niego.

— Obecnie położenie tego człowieka jest rozpaczliwe.

— Straszne! Lepiej byłoby zarówno dla niego jak i dla jego najbliższych, by zginął odrazu.

— Siostra jego nie ma żadnej nadziei uleczenia go.

— Niestety! Nie można już niczego się spodziewać. Blanka wzywała do swego brata wszystkie znakomitości lekarskie, wszystkiego próbowała, niczego nie zaniedbała, by przywrócić zdrowie swemu drogiemu Januszowi. Poddała się jednak w końcu losowi, gdyż nic nie można było uczynić dla niego.

— Więc rzeczywiście panna de Saumarte tak silnie starała się o uzdrowienie brata?

— Czyż mogłaś wątpić w to, Sabino? wykrzyknęła . Niegodne myśli przychodzą ci do głowy, moje dziecko, o tej uprzejmej dziewczynie, która cię tak przyjaźnie przyjęła u siebie.

— Rzeczywiście, droga babciu, myśli moje ubliżyły tej czarującej istocie, gdyby wynikały z powątpiewania w nią. Mówiłam jednak nie o jej, zasługującym na podziw, oddaniu dla brata, lecz o niedoskonałości zabiegów, które stosowano względem niego.



Austriacki skoczek narciarski Bradl, który uzyskał czwarte miejsce podczas zawodów o mistrzostwo świata w Lahti.

— Była wspaniałą pielęgniarką!

— Tego jestem pewna. Lecz czy lekarze odpowiednio go badali?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Tłómacz się jaśniej, bo wcale cię nie rozumiem.

— Chcę powiedzieć, że chirurgia dokonuje dzisiaj prawdziwych cudów. Przede wszystkim należałoby przypuszczać, iż paraliż, utrata zmysłów, spowodowane raną, mogą być uleczone, można przecież naprawiać kości, mięśnie, nerwy, a nasi specjaliści dokonywują codzień w tej dziedzinie niezwykłych rzeczy. Czyż nie naprawiali oni nosów, szczęk, uszu, uszkodzonych przez pociski. Otwierano czaszki, sztukowano za krótkie mięśnie, ludzie zupełnie postrzępieni byli zeszywani, naprawiani, rekonstruowani prawie w całości. A dla biednego Janusza, któremu nie brak żadnych organów ani kości, nic nie zdołano uczynić.

— Należy sądzić, iż zło jest ukryte.

— Nie ma takich ukrytych niedomagań, których by promienie Roentgena nie mogły wykryć.

— A jednakże, widzisz, iż pomimo wysokiego wynagrodzenia, wyznaczonego przez Blankę, lekarze odstąpili od leczenia jej nieszczęsnego brata.

— Nie powinna była zaprzestać badań, upierałam się.

— Co za dziecińtwo! Mówisz zupełnie nierozsądnie. Czy myślisz, że zarówno dla chorego jak i dla niej samej, przyjemnym było takie życie w ciągłym napięciu, takie bieganie od jednego szpitala do drugiego, włóczenie się po klinikach, oczekiwanie godzinami w gabinetach specjalistów. Gdyby Janusz de Saumarte był normalny, to jeszcze pół biedy, ale nie można wędrować z takim żywym trupem, nie wywołując ciekawości i komentarzy. Uważam, iż Blanka dobrze zrobiła, chroniąc się, po czterech latach krzyżowej drogi, do Belle Vue, zdala od ciekawych oczu. Przynajmniej jej biedny brat może żyć w spokoju.

— Żyć! To się nazywa żyć...

— On żyje jak roślina, jak zwierzę. Ale żyje! Dla Blanki to najważniejsze. — Szczęściem Janusz nie zdaje sobie sprawy ze swego stanu.

Drgnęłam.

— Ależ, czy jego umysł jest naprawdę zupełnie martwy, szepnęłam. Nie ma na to niezbitych dowodów.

— Mój Boże, co też ty mówisz. Przecież to kompletny idiota!

— Tak, być może jednak, iż on tylko zewnętrznie nie daje żadnych oznak świadomości, lecz w tym więzieniu z ciała i kości umysł jego może normalnie pracuje i ten człowiek może wszystko rozumie. A rozumieć — to myśleć, zastanawiać się, cierpieć!

Babka wzruszyła ramionami drwiąco. Rozmawiała jednak ze mną łaskawiej niż zwykle, gdyż wiadomości przyniesione o Roches Noires wprawiły ją w dobry humor.

— Moja biedna Sabino, masz bujną wyobraźnię!

— Wyobraźnię? To jeszcze pytanie.

— Uspokój się, moje dziecko. Janusz de Saumarte jest z całą pewnością pozbawiony zmysłów. Byłam świadkiem, jak pewien znakomity specjalista zapewniał o tem jego siostrę, która z płaczem błagała go, by nie zaniechał niczego co mogłoby bezapelacyjnie stwierdzić, iż nawet okruch świadomej myśli nie pozostał w mózgu Janusza. Powiem ci więcej, Blanka ponad wszystko obawiała się właśnie tego, gdyż — twierdziła ona — gdyby brat jej mógł zdawać sobie sprawę ze swego stanu, zabiłaby go własnymi rękami, by mu oszczędzić codziennej męczarni żywcem zamurowanego.

Przeszył mnie dreszcz.

— Okropna perspektywa dla kochającej siostry, pomyślałam.

— Czyż rozumiesz dobrze, jak straszne byłoby dla twej nowej przyjaciółki przypuszczenie, iż umysł jej brata funkcjonuje normalnie?

— Tak, to jej największa obawa!

— Widzisz więc, że mogła uspokoić się tylko wtedy, gdy otrzymała jak najsolenniejsze zapewnienie, iż brat jej definitywnie zginął dla życia intelektualnego.

Pochyliłam głowę w zadumie, nie mając odwagi przyznać się, iż pomimo wszystkich zapewnień babki, jak również pomimo tego wszystkiego, co mi mówiła parę godzin temu panna de Saumarte, powstała we mnie wątpliwość.

Błysk oczu, które zetknęły się z moimi, uścisk palców, które obejmowały mą dłoń, podniecenie kaleki, gdy była mowa o tym, bym odeszła w burzę, wszystko to wzbudziło we mnie jakieś wątpliwości, z których nie mogłam się otrząsnąć.

*
* *

Dnia tego była wspaniała pogoda.

Babka zadecydowała:

— Sabino, trzeba byś poszła do Belle Vue. Pannie de Saumarte należy się twoje podziękowanie... a zarazem porozmawiasz z nią o Roches Noires i postarasz się dowiedzieć, dlaczego nasi sąsiedzi byli zmuszeni sprzedać swe dobra i na kiedy wyznaczona jest sprzedaż.

Uradowana, puściłam się w drogę, ciesząc się na myśl ponownego zobaczenia sympatycznej dziewczyny, która mnie tak uprzejmie przyjęła parę dni temu.

Przebycie ścieżki, wiodącej do Belle Vue zajęło mi tym razem bardzo mało czasu.

Perspektywa spędzenia kilku miłych godzin uskrzydlała me kroki i, bardzo zadowolona, stanęłam wkrótce u celu podróży.

Stara służąca, która otworzyła mi drzwi, zaprowadziła mnie odrazu do pokoju, gdzie znajdował się kaleka, mówiąc:

— Nasza panienka odbywa swój zwykły spacer ,lecz wkrótce powróci, za jakiś kwadransik będzie na pewno już w domu, może więc zechce pani zaczekać.

Odparłam, iż chętnie zaczekam, jeśli nikomu nie będę przeszkadzała.

— O, nie ma obawy co do tego, zapewniła mnie. Jest tu tylko nasz biedny pan, a jemu to zupełnie obojętne, czy pani jest tu, czy też gdzieindziej. Biedny człowiek, nie zdaje sobie z niczego sprawy.

Skierowałam wzrok ku kalece, siedzącemu nieruchomo w fotelu.

— Zawsze w tym samym stanie? szepnęłam.

— Nic się już teraz nie zmieni. Skończone — rzuciła kobieta twardo. To krzyż, który trzeba nieść do końca...

Przykro jej było widocznie o tym rozmawiać, gdyż oddaliła się szybko, mówiąc:

— Przepraszam, muszę kończyć zmywanie. Proszę dotrzymać towarzystwa młodemu panu i nie nudzić się zbytnio.

Po jej odejściu pozostałam sama z kaleką.

Przeszłam przez pokój i podeszłam do niego, mówiąc grzecznie:

— Dzień dobry panu.

On jednak pozostał nieruchomy z oczami utkwionymi w przestrzeń, jakgdyby nie zauważył jeszcze mej obecności.

Przysunęłam niskie krzesło i usiadłam odważnie przy jego fotelu.

Cisza panowała w pokoju.

By dodać sobie pewności, zdjęłam rękawiczki, rozpięłam palto i chcąc ukryć swe zakłopotanie, uczyniłam to co kobiety zwykły robić w chwilach zaambarasowania: zbadałam zawartość mej torebki, wyjęłam i położyłam znów na miejsce chusteczkę do nosa, portmonetkę, lusterko i puderniczkę. Pomimo, iż robiłam to wszystko z wielką starannością, inwentarz mej torebki był w krótce ukończony, a cisza panowała wciąż.

Skrzyżowałam ręce na kolanach i przypatrywałam się z uwagą zniszczonej twarzy mego towarzysza.

Ogarnęło mnie znowu jakieś nieokreślone zakłopotanie, jakiś niepokój ściskał mi gardło, dławił serce.

Chłód wewnętrzny przenikał całą moją istotę, czułam dziwne wzruszenie.

Chcąc przerwać ten chorobliwy nastrój, przemówiłam do chorego, jak poprzedniego dnia... coś niejasnego pchało mnie do zajmowania się nim, do zgłębienia, na przekór wszystkiemu co mi mówiono, jego mózgu, by wydobyć zeń iskierkę świadomości.

W ciszy wielkiego pokoju rozpoczęłam znowu swój dziwny monolog.

— Pan mnie poznaje, przypuszczam? Jak pan widzi nie dałam długo czekać na me odwiedziny, zachęcona poprzednim miłym przyjęciem. Przytem taka piękna pogoda dzisiaj... wejście na tę górę to śliczny spacer... słońce świeciło wspaniale... ścieżka była pocentkowana małymi jasnymi plamkami, padającymi z nieba poprzez listowie...

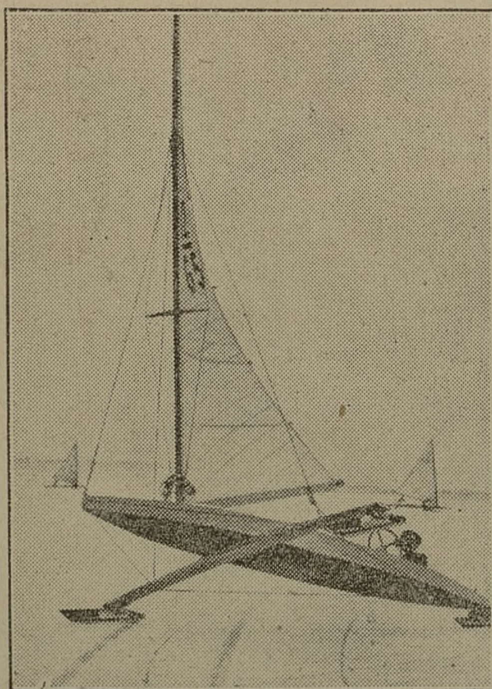
Zatrzymałam się, by odetchnąć.

Towarzysz mój nie poruszył się, zdawał się nawet nie słyszeć mego głosu.

Mimowoli westchnęłam głośno.

— Jestem zadowolona, iż przyszłam trochę za wcześnie i mogę dotrzymać panu towarzystwa w czasie nieobecności siostry. Mam nadzieję, iż nie sprawia to panu przykrości... ale byłoby nam obojgu przyjemniej, gdybyśmy mogli jakoś porozumieć się... Tak miło byłoby pogawędzić trochę... Nie, niech pan nie myśli, że jestem gadatliwa. Ja również spędzam samotnie całe dnie we dworze w Presec. Moja babka jest stara i nie lubi młodości. Nieraz, przez całe tygodnie słyszę tylko jej głos, zawsze taki suchy, twardy... zawsze te same wyrzuty z powodu mego braku majątku, mego dużego apetytu, mego szybkiego rośnięcia, przez co sukienki stają się za krótkie... Tak, życie w Presec niezawsze jest wesołe i dlatego nie tylko przez ciekawość przyszłam w odwiedziny do siostry pana i nie tylko przez gadulstwo opowiadam panu to wszystko. Ach, jaka szkoda, że pan nie może mnie zrozumieć, zostalibyśmy przyjaciółmi, prawdziwe cierpienia łączą ludzi, a tyle jest wspólnego między pana odosobnieniem moralnym, wywołanym chorobą, a moim odosobnieniem w Presec, gdzie jestem intruzem na łasce babki.

Przy tych słowach szloch zdławił mi głos.



Na zdjęciu bojer, czyli żaglowiec lodowy.

Monolog mój tak wesoło zaczęty, stał się pomału bezwolnym zwierzeniem. Los chorego zaostrzał moją wrażliwość, gorycz jakaś pobudzała do przeprowadzenia analogii z moim losem, pozbawionym miłości i ciepła.

Oczy chorego, przyciągnięte zapewne dźwiękiem mego głosu, zwróciły się ku mnie i zdawały się patrzeć, jeśli można nazwać spojrzeniem słaby i niejasny blask, wymykający się z jego mętnych źrenic.

Wystarczyło to, aby przywołać mnie do rzeczywistości, mimo, iż pustka wyzierała z tych martwych oczu.

Drwiąc ze swego wzruszenia, wybuchnęłam śmiechem.

— To głupie, nieprawdaż, rozczulać się nad własnym losem i rozprawiać o małych przykrościach codziennego życia. Jestem obrzydliwą egoistką i tyle! Pan musi mieć o mnie ładne wyobrażenie, jeśli pan mnie rozumie. Ale teraz, skoro okazałam swój brak charakteru, muszę opowiedzieć panu prawdę o mym życiu. A więc prawdą jest, że mam bardzo przykre usposobienie, że nie mogę pogodzić się z sytuacją biednej krewnej, że jestem uosobioną pychą, gdyż nie błogosławię dobroczynnej ręki, która mnie karmi mimo wszystkich moich przywar...

Głos mój jednak brzmiał fałszywie, zamilkłam więc, gdyż zbrakło mi siły, by dalej udawać. Odezwały się we mnie wspomnienia wszystkich smutnych godzin, przeżytych w Presec u boku wrogiej mi osoby ,na utrzymaniu której zmuszona byłam pozostawać. I raptem coś się załamało w mej duszy, nie mogłam dłużej maskować się.

Pocóż ukrywać prawdę przed sobą samą? W tym wielkim, cichym pokoju, u boku kaleki, którego trudno było uważać za żyjącego człowieka, mojej niedoli nie potrzebowałam udawać i taić.

Opuściłam głowę, zmęczona i zniechęcona, jak to mi się często zdarzało w Presec, gdy rozmyślałam o mej samotności i odosobnieniu. Kaleka patrzył wciąż na mnie, lecz martwota jego wzroku przypominała oczy posągów, których puste źrenice zdają się czasem iść krok w krok za przyglądającym mu się człowiekiem.

Obecność jego nie przeszkadzała mym melancholijnym rozmyślaniom. Nie należało mi już na tym, by przerwać to dręczące milczenie, by wykrzesać w obłąkanym iskierkę świadomości.

Ile czasu siedziałam pogrążona w myślach? Nie spostrzegłam nawet jak mijały chwile.

Wiem tylko, że marzenia przeniosły mnie do moich ukochanych istot, matki i ojca,



Główny bohater wojny hiszpańskiej, gen. Franco omawia z generalicją ważny plan strategiczny.

którzy czuwali nad mym dzieciństwem, a których śmierć zabrała jednocześnie po kilkudniowej chorobie, gdy zaczynałam szósty rok życia. Potem ożyła w mym sercu postać drogiego ojca chrzestnego. Jakże on mnie kochał i pieścił! Przez dziesięć lat cieszyłam się jego miłością i przywiązaniem... aż do chwili, gdy okręt jego — był oficerem marynarki — zatonął. Wówczas zostałam prawdziwą sierotą bez domu, bez miłości! Od tego czasu zamieszkałam w Presec, u boku jedynej krewnej jaką posiadałam obecnie, starej i surowej ciotecznej babki, która mnie przygarnęła na żądanie notariusza, mianowanego moim prawnym opiekunem.

Na wspomnienie tych szarych dni, co nastąpiły po dawnych szczęśliwych czasach, łzy spłynęły mi na policzki — nie myślałam nawet o tym, by je powstrzymać.

Machinalnie chciałam je otrzeć, gdy wtem, zerwałam się z miejsca. Kaleka pochylił się w moją stronę, tym znanym gwałtownym ruchem, który go zginał raptownie wpół. Twarz jego była oddalona od mojej o parę centymetrów; biedne, bezbarwne oczy, które patrzyły, nie widząc, zdawały się być skute z moimi źrenicami.

Instynktownie wyprostowałam się i odrzuciłam głowę w tył.

— Och, niechże pan będzie grzeczny, panie de Saumarte, proszę pozostać na miejscu, proszę niech pan mnie nie straszy...

Ręce jego spoczęły ruchem automatu na moich dłoniach i uwięziły je w mocnym uścisku.

Starałam się opanować ogarniający mnie bezwolny lęk.

— Proszę mnie puścić, przecież pan widzi, że...

Nagle zamilkłam.

Na tej biednej twarzy zwróconej ku mnie, wykrzywionej grymasem wysiłku, by wydobyć jakieś bezwładne dźwięki z ust, na tej nieszczęśliwej twarzy, spustoszonej chorobą i zdającej się nie mieć w sobie życia — zajaśniał nagle promień świadomości.

I znowu doznałam tego samego wrażenia, które odniosłam poprzednim razem, gdy w czasie burzy, wydawało mi się, iż brat usiłuje nakłonić siostrę do zatrzymania mnie.

Z ust moich, pobladłych ze wzruszenia wyrwał się okrzyk:

— Więc pan słyszy... pan rozumie...

I ponieważ widziałam światło myśli w tych upiornych oczach, odgadywałam istnienie świadomości w tym żyjącym automacie, lęk mnie nagle opuścił.

— Błagam pana, panie de Saumarte, jeśli pan mnie rozumie w tej chwili, proszę dać mi jaki znak... czuję, że pan mnie słyszy, że pan zdaje sobie sprawę z tego, co pana otacza... i dlatego... już się nie boję pana! Mam tylko jedno pragnienie: dotrzeć do mózgu pana i uzyskać jakiś znak świadomości. Proszę mi pomóc, proszę odpowiedzieć.

Uczułam na mej ręce mocniejszy uścisk palców.

Czy to uścisk przyjacielski, czy machinalny? Jak odgadnąć?

— O, proszę: ręka pana spoczywa na mojej i, jak mi się zdaje, obejmuje ją przyjaźnie. Płakałam, byłam smutna, pan chciał oderwać mnie od mych myśli. I dopiął pan swego, zapomniałam już o powodach mego smutku i pragnę teraz tylko jednego: dotrzeć do świadomości pana, wydobyć pana z nicości, w której wydaje się pan być pogrążonym.

Nic nie potwierdziło jednak mej gorącej nadziei. Przeciwnie, palce rozluźniły uścisk, blask oczu zgasł nagle.

Zawód ścisnął mi serce, ale nie straciłam odwagi. Świadomość, która rozświetliła przed chwilą to martwe spojrzenie, mogła powrócić. Należało więc uchwycić ją lub też na nowo obudzić.

Oswobodziłam me dłonie i ruchem bardzo łagodnym lecz stanowczym zdołałam posadzić go prosto w fotelu.

— Tak, proszę siedzieć spokojnie, nie męczyć się. Nie chce pan mi odpowiedzieć, dać mi jakiś znak?... Byłabym taka szczęśliwa... Dlaczego? Nie wiem. Może dlatego, iż moje uczucie tkliwości szuka jakiegoś ujścia... Poznałam pana chorym, nieszczęśliwym i moje serce, spragnione oddania, marzyło, by panu dopomóc, wnieść trochę radości w pana życie... Czy ja wiem zresztą dlaczego byłabym szczęśliwa, gdyby pan odpowiedział przed chwilą na moje pytania? Wiem tylko, że sprawiłoby mi to ogromną radość i że spotkało mnie znowu rozczarowanie.

Stałam przy nim, otaczając ramieniem jego wątłe plecy.

— Szczęśliwa jest siostra pana, mając go wyłącznie dla siebie. Może pana kochać, otaczać opieką... Jej życie ma jakiś cel, jej pragnienie poświęcenia się znajduje ujście...

Mówiłam, nie patrząc na niego, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń, idąc za biegiem mych myśli:

— Najcięższa rzecz w życiu, to samotność, odosobnienie wśród wszystkich.

Machinalnie, bezwiednie macierzyńskim ruchem, skłoniłam głowę, dotykając policzkiem rozpalonego czoła kaleki.

Tuliłam się tak kiedyś do mego ukochanego ojca chrzestnego, gdy czasem, wśród zabawy, odczułam gwałtowne pragnienie pieszczoty. A on, odkładając swą fajkę, lub odrzucając gazetę, przyciągał mnie do siebie i kołysał tkliwie na swym starym, kochającym sercu.

Wskrzeszona w wspomnieniach przeszłość, stanęła raptem tak żywo przed mymi oczami, iż mimowoli przycisnęłam mocniej policzek do głowy mego towarzysza i złożyłam pocałunek na jego czole. Myśli moje były tak daleko od tego pokoju, iż zadrżałam, gdy poczułam nagle palce chorego, zacieśniające się wokół mej dłoni.

W tej samej chwili, gdy zaczerwieniona ze zmieszania, cofnęłam się gwałtownie wtył, automat zwrócił się ku mnie. Wstrząśnięta do żywego, ujrzałam, jak głowa jego pochyla się, a usta składają pocałunek na mej ręce którą trzymał w swej dłoni. Oniemiałam ze zdumienia, nie będąc w stanie przez kilka sekund, wymówić ani słowa, uczynić najmniejszego ruchu.

Rozumiał! Tym razem nie było wątpliwości. Ten pocałunek nie mógł być nieświadomy.

Mózg pracował normalnie, myślał i rozumiał wszystko, zamknięty w ponurym więzieniu.

Patrzyłam ze zgrozą na ten żywy automat.

Nieszczęśliwy! Mówiono przy nim bez skrępowania, a on wszystko rozumiał. Wciąż była mowa o jego bezapelacyjnie nieuleczalnej chorobie, a on zdawał sobie sprawę ze swego stanu!... Ach, jakaż to straszna męczarnia dla żywej myśli! Agonia nieuszkodzonego mózgu!

W tej chwili, gdy powinnam była czuć się zawstydzoną pocałunkiem, danym przeze mnie, dobrze wychowaną dziewczynę, obcemu mężczyźnie, jedno tylko mnie obchodziło: piorunująca rewelacja o rzeczywistym stanie jego umysłu.

— Pan rozumiał? I nikt nigdy nie domyślał się tego? Lekarze zaprzeczali, nawet siostra pana...

Palce jego zacisnęły się mocniej na mej dłoni, którą wciąż trzymał w swym ręku.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

ROZDZIAŁ CCLXXVI.

Płynne złoto

Cały New-Limerick był w irytacji. Krzyczano ,besztano ze wszystkich sił, a przedmiotem tego oburzenia był Leon i Bill.

Dziwiono się, że „obaj wariaci", jak ich tu nazywano, skupują bagniste grunta, ale zdziwienie to urosło, gdy obaj przybyli zaczęli skupować beczułki i faski nowe i stare ,ile tylko w New-Limerick dostać było można.

Wszystkie te ekstrawangacje wychodziły na korzyść mieszkańcom tej miejscowości gdyż pozbyli się niepotrzebnej im zupełnie własności za bardzo dobrą cenę.

Zaczęli się więc w końcu śmiać z tego, nie pojmując, co ci wariaci z gruntami ich poczną.

Pewnego poranka omawiali znów ten fakt w szynku u Rip Drivera i przepiwszy ostatni cent, postanowili gremialnie pójść i przekonać się naocznie o tym, co też ci przybysze tam robili.

Zebrawszy się w dziesięcioro, wyruszyli w pole z długimi fajkami w ustach, rękami w kieszeniach, nie w myśli pracowania, lecz tylko dla zaspokojenia próżnej ciekawości.

— Zdaje mi się — rzekł Rip Driver zdziwiony, zbliżając się do celu wycieczki — że oni tu jakiś rodzaj pompy urządzili.

— I mnie się tak zdaje — rzekł drugi — ładną wodę oni tu dostaną z tego bagna, osły!

— Oni napełniają beczki wypompowanym płynem! — zawołał Rip Driver. który był najinteligentniejszy z nich wszystkich — co to może być? — dodał zirytowany.

— Co to może być? — powtórzyli towarzysze jego chórem.

Rip Driver pospieszył kroku, a za nim podążyła reszta.

Gdy się wreszcie zbliżyli do nowych osadników, zawołał do nich Leon z daleka:

— Cieszcie się z nami, mieszkańcy Limericku! Mieliśmy wielkie szczęście, z którego i dla was korzyść wypadnie; odkryliśmy źródło nafty!

Przez chwilę patrzał Rip Driver osłupiałym wzrokiem to na mówiącego, to na napełnione naftą beczki i wpadł w dziką, niepohamowaną złość.

— Złodzieje, oszusty, szachraje! — wrzasnął on z całej siły — przybyliście po to, aby od nas wyłudzić naszą własność? Jesteście złodzieje, bo wiedzieliście, że tu jest nafta i wyłudziliście od nas pola, za takie psie pieniądze! Zabieracie nam nasz majątek! Obywatele Limericku — zwrócił on się do swych towarzyszy — nie pozwólcie na to, aby te przybłędy wam spod nosa zabierali waszą własność! To jest nafta, którą oni tu wypompowują! To jest nasz majątek, który w naszej ziemi jest ukryty. Nie dajmy się okraść przez tych zuchwałych złodziei. Oni by się mieli wzbogaci, a my biedacy patrzeć się na to, jak oni naszymi pieniędzmi rzucają? Nie, to nie może być. Nie pozwolimy na to niesłychane oszustwo.



Słowami tymi wywołał prawdziwą burzę, wśród spokojnych zresztą mieszkańców Limericku.

Piorunowe spojrzenia i ordynarne wymyślania posypały się na biednego Leona i Billa, przeciwko którym wzniosły się także grożące pięści rozwścieklonej tłuszczy.

Gdy Rip Driver skończył, wyrwał się z ust wszystkich obecnych okrzyk:

— Nie, nie damy się okraść! Chcemy naszą własność odebrać! Powiesić złodziei! Zlynchować przeklętych szachrajów!

Lynchowanie jest okropnym zwyczajem doraźnej sprawiedliwości, w niektórych dzikszych okolicach Ameryki. Jeżeli ogólny gniew skaże kogoś na lynchowanie, to tłum osmarowuje nieszczęśliwego delikwenta mazią i potem obsypuje pierzem które się do mazi przyczepia i goni i bije go tak długo, dopóki ten nie pada martwy na ziemię.

Rzadko bardzo zdarza się, że taki skazaniec uratuje się ucieczką; jest to prawie cudem.

Groźba ta nie była więc drobnostką; lecz Leon i Bill byli widocznie na tę burzę przygotowani, bo gdy szajka chciała rzucić się na nich, wyciągnęli spokojnie naładowane pistolety i zaczęli celować w swych przeciwników.

— Kto się nas dotknie, w tego strzelimy! — krzyknął Bill groźnie.

Widok broni palnej otrzeźwił szalejących. Nie mieli oni żadnej broni przy sobie, a pięściami niewiele mogli zdziałać wobec pistoletów. Driver wprawdzie wrzeszczał:

— Nie dajcie się zastraszyć ,jak tchórzliwe baby! Bądźcie mężami! Za mną! — i rzucił się ponownie na Billa, ale ten spokojnie wystrzelił.

Driver krzyknął przeraźliwie i odskoczył; nie został wprawdzie zraniony, ale odwaga Billa osiągnęła pożądany rezultat: napastnicy stali z daleka i nie mieli odwagi powtórnego zbliżenia się. Wprawdzie zawsze jeszcze szemrali, ale nie porywali się więcej na Leona i Billa.

Spostrzegłszy tę zmianę w ich usposobieniu, postanowił Leon przemówić do nich, przy czym jednak nie wypuszczał z ręki nabitego pistoletu.

— Jesteście głupcami — rzekł — jeżeli nas nazywacie złodziejami i szachrajami. Sprzedaliście nam przecież swoje pola, a zatem należą one do nas teraz prawnie, ze wszystkim, co się na nich i w nich znajduje. Wy sami nigdybyście nie byli odkryli tych źródeł naftowych; bogactwo spoczywałoby ukryte w bagnach, a wy bylibyście tak biedni, jak przedtem. Tak zaś źródła nie tylko nas wzbogacą, ale i z was zrobią zamożnych ludzi. Potrzebujemy robotników do pomocy i jesteśmy gotowi dawać wysoką płacę za pracę dzienną. Możecie teraz zarobić w jednym tygodniu więcej niż dawniej przez cały rok. Bądźcie więc rozsądni i zamiast stawiać nam opór, pomagajcie lepiej, a wzbogacicie się sami. Dajemy na sam początek 3 dolary dziennie, a potem płacę podwoimy, a nawet a nawet trzy razy tyle dawać będziemy! Decydujcie się więc prędko i nie odrzucajcie dobrych warunków, które wam stawiamy.

Miny obecnych zmieniły się. Zaczęli szeptać między sobą i radzić się Drivera.

Wreszcie odezwał się jeden z nich.

— Nie byłoby to tak źle, ale pokażcie pierwej pieniądze, a potem wam uwierzymy!

— Możemy wam nie tylko pokazać, ale nawet dać! — odparł Leon. — Jeżeli będziecie nam dziś godzinę pomagać, to dostaniecie całą dzienną płacę, t.j. 3 dolary. Jestem nawet gotów zapłacić z góry. Zgłaszajcie się więc pojedyńczo, kto się zgadza z moim projektem.

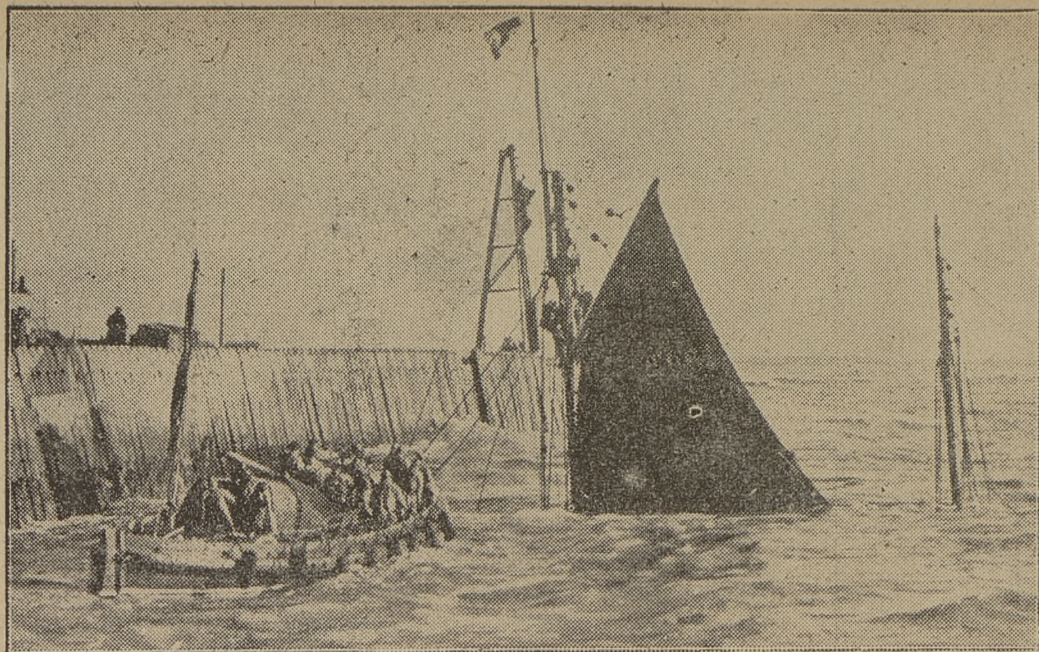
Pierwszy zbliżył się ten ,który przemawiał: duży, niezgrabny chłop. Miał zawsze jeszcze wahającą i niedowierzającą minę, a gdy mu Leon wręczył lśniące 3 dolary, krzyknął z radości, i byłby dawcę najchętniej uściskał.

Widok pieniędzy zelektryzował mieszkańców New-Limericku.

Rzucili się wszyscy do Leona, ofiarując mu swoje usługi i wyciągając opalone ręce po zapłatę z góry.

Nawet Rip Driver udobruchał się i gniew jego ustąpił nadziei świetnego zarobku.

Gdy wreszcie wszyscy otrzymawszy przedpłatę, garnęli się życzliwie do swoich chlebodawców, wytłumaczył im Leon raz jeszcze, jakie świetne widoki im się otwierają; jak się New-Limerick wkrótce zaludni



W oryginalny sposób ratowano załogę angielskiego statku rybackiego. Dwóch ostatnich ludzi załogi uczepiło się wystającego nad wodą masztu, a specjalny holownik przyciągnął statek do górnej połowy masztów zanurzony do brzegu.

i jak domy i pola ich podskoczą na wartości o 100 procent i jak nieoczekiwanie dla samych siebie staną się bogaci.

Rip Driver pokiwawszy głową, rzekł:

— On ma słuszność! Dalibóg, że on ma słuszność! Zerwała się wśród obecnych burza entuzjazmu. Zaczęli powiewać brudnymi czapkami i krzyczeć na głos:

— Wiwat Mr. Jim i Bill! Niech żyją dobroczyńcy New-Limericku, którzy nam przysporzyli szczęścia i błogosławieństwa!

W ten sposób krzyczeli i wiwatowali ci ludzie, którzy przed niespełna godziną grozili lynchowaniem i powieszeniem.

Gdy się wreszcie uspokoili, stanęli do pracy z gorliwością, którą wywołuje każda nowość, a gdy skończyli, zwołał ich Leon na naradę.

— Który z was zechce wynająć mi na kilka dni furę z końmi? — zapytał.

Prawie wszyscy się ofiarowali. Leon wybrał tego, który posiadał najsilniejszy wóz i czwórkę silnych koni i zamierzał pojechać nazajutrz do Ottawy, najbliższego wielkiego miasta w okolicy, aby jednej z dużych firm tamtejszych przedłożyć próbę wydobytego oleju ziemnego i jeśli się da, zawrzeć z nimi kontrakt.

Robotnicy zaś mieli pod dozorem Billa dalej pracować i rozeszli się na dziś uszczęśliwieni, spiesząc, aby żonom swym donieść o szczęściu, które ich spotkało.

Nazajutrz rano wyjechał Leon konno, a obok niego ciężki wóz towarowy z beczkami nafty, którym powoził jeden z osadników.

Za nimi biegł tłum kobiet i dzieci, życząc im szczęścia i błogosławieństwa na drogę, dopóki znużenie nie zmusiło ich do powrotu.

Francis nie odprowadzała Leona. Patrzała za nim dopóki jej nie znikł z oczu, a potem roniąc łzy wróciła do swego prowizorycznego domu i rzuciła się, szlochając na jedno z surowych krzeseł.

— O Boże, co się ze mnie zrobi! — lamentowała ona — myśl o tym, com zrobiła, nie daje mi ani na chwilę spokoju. Nie mogę o tym zapomnieć! Nie mogę mu więcej w oczy patrzeć. Gdyby on o tym wiedział, pogardzałby mną i nienawidził z całego serca, za to żem szczęście jego zniszczyła zbrodniczą ręką!

Płakała długo i gorzko. Zły uczynek ciążył na jej sumieniu, a namiętna, beznadziejna miłość dla Leona raniła serce.

Wreszcie opamiętała się, a obmywszy spłakaną twarz zimną wodą, zabrała się do swoich gospodarskich zajęć.

Gdy Bill wrócił na obiad do domu spostrzegł, że była niezwykle blada i miała zapłakane oczy. Nie pytał jej jednak o powód i mimo wielkiej miłości dla dziewczyny, trzymał się od niej z daleka, z podziwu godną delikatnością.

Milcząco spożyli we dwoje skromną swą ucztę; Francis jadła bardzo mało. Bill chciał kilka razy coś przemówić, ale zawsze się wstrzymywał. Wreszcie rzekł z odwróconą i zaambarasowaną twarzą:

— Jeżeli się nie boisz zostać sama, to ja bym dziś nocował przy źródle.

— Czy się obawiasz, aby je sąsiedzi nie zasypali, albo czymś nie zatkali? — spytała Francis zdziwiona.

— Nie, chyba tak głupimi by nie byli — odparł Bill — bo sami by sobie tym zaszkodzili.

— Dlaczego więc chcesz czuwać przy źródle? — badała znowu Francis.

Bill nie odpowiedział, ale na poczciwej jego twarzy malowało się okropne zaambarasowanie.

Teraz dopiero spostrzegła Francis, że to było z delikatności dla niej, bo obawiał się, że jej będzie nieprzyjemnie zostać z nim przez całą noc. Pokoik jej bowiem nie zamykał się na klucz, jak w ogóle nic nie miało dobrych zamków i zasuwek w prymitywnym tym domostwie.

Wzruszona jego dobrocią, podała mu Francis serdecznie rękę i rzekła:

Rozumiem cię, dobry Billu, ale nie pozwolę na taką ofiarę. Musisz zresztą zostać już choćby dla mojej obrony. Uważam cię za swego przyjaciela i obrońcę i mam do ciebie nieograniczone zaufanie!

Gorący rumieniec okrasił brunatną twarz Billa. Uścisnął serdecznie małą jej rączkę i byłby ją najchętniej ucałował. Opanował się jednak i rzekł pozornie spokojnie:

— Jak rozkażesz, Francis! Wiesz przecież, że ja bym dla ciebie zrobił wszystko, co by było w mej mocy!

Dziewczyna nic na to nie odpowiedziała i odeszła spokojnie do swego zajęcia.

Domyślała się ona miłości Billa, ale znała go zanadto dobrze, aby go się miała obawiać.

Wiedziała, że posiada mimo prostoty i awanturniczego życia, na wskroś uczciwy, prawie że rycerski charakter.

Franciszka bardzo go za to szanowała i lubiła jak brata, ale serce jej należało do Leona, którego kochała całym płomieniem dziewiczego serca.

W czasie nieobecności Leona nadzorował Bill roboty przy źródle i upajał się nadzieją bogactwa. Budował on już w myśli zamki przyszłego szczęścia i widział Francis jako kochaną i kochającą żonę u swego boku.

Ona zaś załatwiała zwykłe swe gospodarskie zajęcia, ale była smutna i przygnębiona. Poczucie winy ciążyło okropnie na jej duszy.

Tymczasem Leon zdążał bardzo pomału do Ottawy z powodu wozu ciężarowego.

Wyjeżdżając wstąpił na pocztę, zobaczyć, czy nie ma dla niego listu, i był rozczarowany, mimo, że wiedział z góry, że nie może jeszcze mieć odpowiedzi od Hortensji.

Pocieszał się jednak myślą, że z powrotem zastanie gorąco oczekiwany list żony.

Przybywszy do Ottawy, kupił sobie Leon najpierw porządne ubranie i przebrawszy się, poszedł do znanej, pierwszej w mieście firmy handlowo-eksportowej.

Nie będziemy szanownych czytelników nudzić szczegółami konferencyj i podamy tylko w krótkości rezultat umowy.

Otóż przedstawiciel tej firmy zobowiązał się odbierać przez kilka lat wszystką naftę, którą by mu Leon mógł dostarczać i to po dobrej cenie. Żądał tylko, aby mu ją Leon dostarczał do Ottawy.

Leon nie sprzeciwiał mu się w tym punkcie, bo zrobił wynalazek, który transport nafty nie tylko ułatwiał, ale i czynił tańszym.

Wykombinował on, żeby spuszczać naftę wprost ze źródła podziemnymi, żelaznymi rurami do Ottawy, na miejsce przeznaczenia.

Miało im to zastąpić wozy, konie, furmanów, co by wszystko było trudniejsze i kosztowniejsze.

Inżynier, któremu Leon wyłuszczył swój pomysł, bardzo tą myślą był zachwycony i zobowiązał się przeprowadzić mu te rury zupełnie bezpłatnie, pod warunkiem, że mu Leon wynalazek ten odda jako własność, tak, aby go mógł opatentować.

Leon bardzo chętnie zgodził się na tę propozycję, bo przedsięwzięciu ich zawsze jeszcze brakowało pieniędzy, mimo, że bracia Harcowit, z którymi kontrakt zrobili, dali im dość znaczny zadatek.

Po kilku dniach wrócił Leon z całym transportem maszyn, ciężkich rur i przywiózł też ze sobą inżyniera i jednego z braci Harcowit, który chciał przedsiębiorstwo naocznie zobaczyć i otaksować.

Przybyło też kilku kupców-spekulantów, którzy pragnęli zobaczyć nowe kopalnie i przetransportowali tu całe wozy z żywnością i napojami różnego rodzaju, które już po drodze wielki miały zbyt.

Ekspedycję tę powitano w New-Limerick ogromnie głośno i radośnie, gdyż mieszkańcy coraz bardziej przekonywali się, że obietnice obcych i ich przepowiednie sprawdzają się.

Upajali się radością, gdyż poznali, że ten niepozorny, cuchnący płyn, który wypływał z ziemi, był prawdziwym płynem złotym, który z nich robił ludzi zamożnych.

— Gdzie mój list? — spytał zadyszany Franciszkę, która wybiegła naprzeciw niego z serdecznym powitaniem.

— Jaki list? — spytała Francis zmieszana i obrażona, i odwróciła się do konia, głaszcząc go, aby ukryć rumieniec wstydu i oburzenia.

— Przecież w mojej nieobecności musiał przyjść list dla mnie — zawołał zniecierpliwiony — na miłość Boską, Francis, nie męcz mnie tą niepewnością.

Ale namiętność i tęsknota wyrażona w jego słowach, nie wzbudziła litości w sercu dziewczyny, lecz dziką zazdrość o obcą rywalkę, do której się zwracały uczucia Leona.

— Mylisz się — odparła Francis zimno — nie ma żadnego listu dla ciebie!

Leon jęknął z żalu, ale i to nie rozczuliło dziewczyny. Zazdrość zabiła w niej wszelkie lepsze uczucia.

Przed chwilą jeszcze postanowiła wyspowiadać się Leonowi ze swej winy, ale zamiar ten prędko został zaniechany.

Nie czuła teraz już nic, prócz gniewu, zawiści i uporu.

Mimo to jednak byłaby się zlitowała, gdyby, wiedziała, co działo się w sercu Leona.

— Hortensjo, Hortensjo — jęczał łamiąc ręce z rozpaczy — po co mi wszystko złoto, jeśli mi ciebie nie stanie! Czyżbym cię miał utracić, kochanie? Czy znienawidziłaś może mnie, niewdzięcznika, który cię po raz drugi opuścił, i czy nim pogardziłaś?

Wreszcie ból jego ustąpił promykowi nadziei.

Może opóźnił się okręt, wiozący jej list — myślał — to przecież niemożliwe, aby Hortensja zachwiała się w swej wierności! Niemożliwym jest też, aby młodemu jej życiu coś zagrażało! List jeszcze może nadejść.

Myśl ta dodała mu świeżej siły i odwagi.

Zerwał się z swej zadumy, usłyszawszy z daleka kroki. Wkrótce otworzyły się drzwi i wszedł Bill z inżynierem i Harcowitem, a za nimi liczni maszyniści i prawie cała ludność New-Limericku.

Pokój tak się napełnił, że nie można było się ruszyć.

— Dawaj tu szampana — zawołał Bill do jednego z handlarzy — musimy zapić to źródło!

Gdy wszyscy obecni mieli napełnione szklanki, odezwał się Harcowit:

— Współobywatele uderzcie szklankami, bo nadeszła dla was nowa, szczęśliwa era. Miejscowość wasza stanie się wkrótce wielkim kwitnącym miastem, a wy staniecie się zamożnymi ludźmi. Rozkwitnie u was handel, bo macie niewyczerpane źródło bogactwa w swej ziemi. Jest to płynne złoto, sączące się z tego źródła. Oby ono nigdy nie wyschło i wszystkich was uszczęśliwiło! Uderzmy szklankami: Wiwat źródło!



Na wystawie samochodowej w Berlinie podziwiać można samochód osobowy z urządzeniem do spania, wzgl. przewożenia chorych.

Wiwat płynne złoto — była chóralna odpowiedź — wiwat Mr. Jim i Bill, którzy odkryli to źródło!

Wypiwszy, potłukli swe szklanki; myśl o płynnym złocie upoiła ich bardziej niż musujący szampan.

ROZDZIAŁ CCLXXVII.

Na zamku Lindenhof

W zamku Lindenhof, własności księżnej Petöfy, na starannie pielęgnowanych grządkach, kwitnęły najwspanialsze kwiaty wiosenne.

Słońce świeciło jasno i pogodnie, ale nie mogło to wywołać najlżejszego rumieńca na bladą twarz księcia Piotra Petöfiego, który leżał na wygodnym leżaku, stojącym na ciepłym, słonecznym miejscu.

Czarny Petöfy był bowiem rekonwalescentem po ciężkiej chorobie, którą przetrwał tylko dzięki swym młodzieńczym, świeżym siłom i starannej pielęgnacji. Matka sama czuwała przy jego łożu i nadzorowała jego pielęgnacji.

W rekonwalescencji już przywiozła go księżna do Lindenhof, spodziewając się, że syn jej w sielskim tym otoczeniu prędzej do sił i zdrowia przyjdzie.

Lecz policzki młodego księcia były jeszcze blade i zapadłe; ciemno okrążone oczy patrzały smutno, a cała jego postać, zwykle tak silna i elastyczna, okazywała jeszcze osłabienie.

Książę spojrzał kilka razy w stronę szerokiej, piaskiem wysypanej ścieżki, jak gdyby stamtąd miał ktoś nadejść. Nie zobaczywszy jednak nikogo, zadzwonił zniecierpliwiony srebrnym dzwonkiem, który stał obok niego.

— Proszę na chwilę hrabiankę Gurlichingen — rzekł do służącego, który się niezwłocznie zjawił.

— Jak jaśnie książę rozkaże — ukłonił się lokaj usłużnie i odszedł spiesznie z rozkazem.

Po kilku minutach ukazała się na ścieżce smukła postać młodej damy w jasnej, letniej sukni, z czerwoną parasolką.

Na jej widok rozchmurzyła się trochę ponura twarz księcia i uśmiechnął się do siadającej obok niego młodej damy.

Była to hrabianka Izabella Gurlichingen, krewna księcia, zwana między austriacką arystokracją „piękną" hrabianką Gurlichingen.

Hrabianka Izabella zasługiwała w zupełności na ten przydomek, bo była rzeczywiście bardzo piękna. Mogła mieć około 18 albo 19 lat, a smukła jej postać była mimo to pełna i zgrabna. Rysy miała regularne, jakby wyrzeźbione, a ciemno brązowe oczy i kasztanowate bujne włosy, kontrastowały wspaniale z jasną i świeżą jej cerą.

— Bello — zagadnął ją książę niezadowolony — uważam, że mnie teraz okropnie zaniedbujesz!

— Ależ, kochany Piotrze — uspakajała go hrabianka — sądziłam, że zechcesz spocząć i pragniesz trochę samotności.

— To zależy — przyznał książę — jestem teraz tak nerwowy, że niektóre osoby są mi wogóle nieznośne; ale ty przecież stanowisz wyjątek, Bello! Wiesz, że jesteś mi zawsze miłym towarzyszem.

Podał jej serdecznie rękę, a ona nie odmówiła mu swojej, ale zarumieniła się i dziwnym wzrokiem patrzała na otaczającą ją wiosenną zieleń!

Trudno było osądzić, czy ją słowa księcia cieszyły, czy bolały, czy też jedno i drugie razem.

Myślałem teraz właśnie o tym łotrze Feldernie, zaczął książę i taki gniew w mym sercu wezbrał, że miałem potrzebę wygadania się przed tobą. Znasz przecież całą historię nieszczęśliwej mej miłości, kochana Bello, przyjaciółko moja i towarzyszko zabaw dziecinnych. Wiesz, jak szalałem za Hortensją i jakie to rozczarowanie, słabość mą spowodowało.

Miłość moja do Hortensji całkiem teraz zagasła, żal mi jeszcze jej, ale jej więcej nie pożądam. Nienawidzę tylko Felderna, który sobie ze mną postąpił jak szubrawiec. Aby mnie od Hortensji oddalić, okłamał mnie i wzbudził we mnie nadzieje, których utrata była największym bólem mego życia i omal, że mnie do grobu nie zapędziła. Muszę się za to na nim zemścić! Poradź mi, Bello, co mam zrobić, aby go poniżyć w opinii publicznej?

Hrabianka spojrzała zaniepokojona na zirytowaną twarz księcia.

— Kochany Piotrze, nie zapalaj się tak — mitygowała kuzyna — i posłuchaj cierpliwie, co ci powiem. Zemściłeś się już

mi dalej to, w czym ci przyjście tego pana przerwało.

— Mam więc zaszczyt pożegnać się! — zawołał pan Juliusz Cezar Krach, zaczerwieniony ze złości, kłaniając się sztywno.

— Żegnam pana — odpowiedział książę z nienaganną uprzejmością. — Rudolfie, odprowadź tego pana, rozkazał służącemu.

Gdy się Juliusz Cezar Krach oddalił, zawołał Petöfy kiwając głową:

— Do tego więc doszło, że Feldern nie mógł już sobie wynaleźć innego sekundanta, jak tego obrzydliwego plebejusza? Nie jestem zardzewiałym arystokratą i uważam każdego wykształconego i dobrze wychowanego człowieka za równego sobie; ale myśl, że ten ordynarny parweniusz miałby być zaufanym mego przeciwnika w sprawie honorowej, jest mi więcej niż przykrą. Czy widziałaś Bello, jakim on się sobie wydawał ważnym i jak czekał na to, aby go zaprosić na obiad? Nie byłem na tyle gościnnym, wiem o tym, ale trzeba ludziom pokazać granice! Zdaje mi się, że na deser byłby mi pan Krach zaproponował, abyśmy byli „per ty", prawda Bello?

— O, Piotrze, ty jeszcze żartujesz — zawołała hrabianka — ja drżę na myśl o tym nieszczęsnym pojedynku!

— Ależ Bello! — zawołał książę zdziwiony. — Cóż za powód do irytacji? To najzwyklejsza honorowa sprawa, jakich już wiele miałem. Ja jestem wyzwany, mam więc pierwszy strzał. Przestrzelę mu lewe ramię w miejscu, które nie jest niebezpiecznym, bo nie chcę obciążać swego sumienia, i przytem dostać 2 albo 3 lata twierdzy. Byłoby mi to bardzo nieprzyjemne, bo nie miałby, czoła tak się wykręcić, jak mój miły kuzynek.

— Gdyby to jeszcze było najgorsze — szlochała hrabianka, i nie mogąc się dłużej wstrzymać od łez — ale jak cię ten Feldern zastrzeli? O Boże, Boże, co jabym wtedy poczęła?

— Bello, czy byłoby ci rzeczywiście żal za mną? — spytał książę i chciał ją do siebie przyciągnąć.

Ale hrabianka opanowała się i spostrzegłszy, że się więcej zdradziła niż duma kobieca pozwalała, otarła prędko łzy i rzekła spokojnie na pozór:

— Pewnie, że byłoby mi żal, stracić przyjaciela z lat dziecinnych jeszcze; sądzę, że jest to zupełnie naturalne!

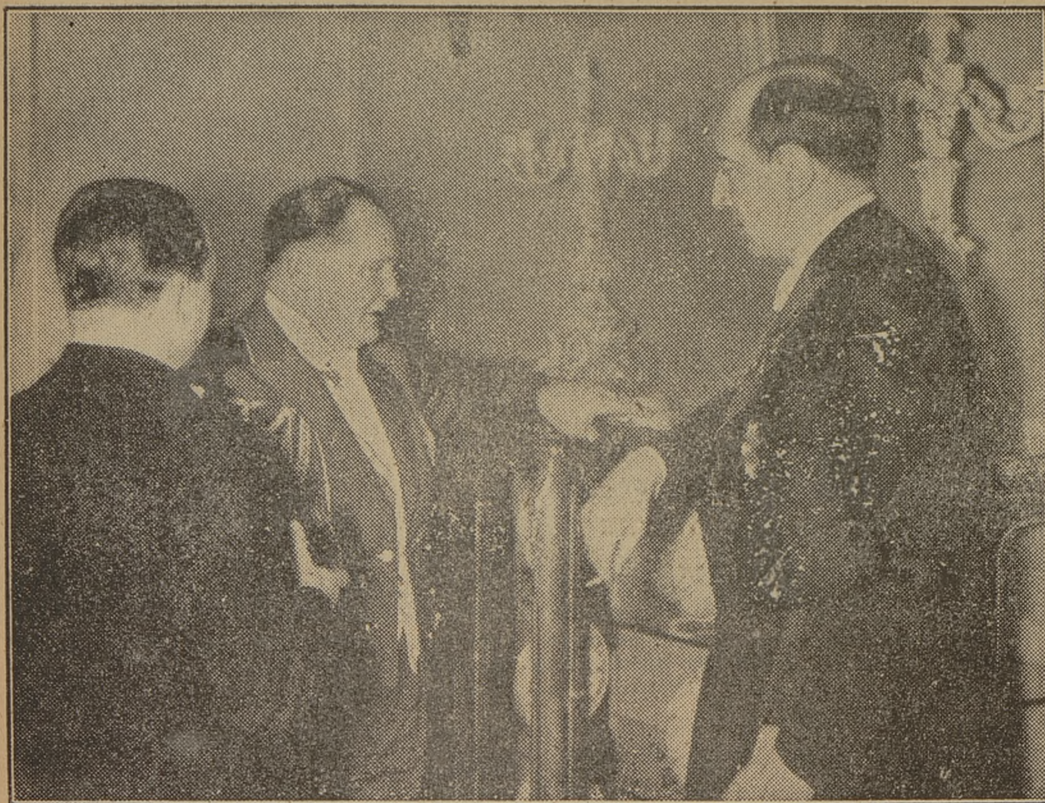
Spokojne jej słowa ochłodziły księcia i podziałały jak zimny tusz. Puścił ją z objęć i zaczął laseczką swą wyrysowywać różne arabeski na piasku.

Bella opuściła go, mówiąc, że musi się przebrać do obiadu; wróciwszy jednak do swego pokoju, padła na krzesło i wybuchnęła głośnym płaczem:

— On się nigdy nie dowie jak bardzo go kocham — szepnęła — jak się o niego niepokoiłam gdy był chory z powodu kobiety i nie wolno mi było do niego pospieszyć! Widzieć go, jest dla mnie największym szczęściem, muszę się tylko wystrzegać, aby mu nie zdradzić swej tajemnicy, O, kiedy ta męka dla mnie się skończy?

Oddawała się tak jeszcze przez pewien czas swej boleści, wreszcie zerwała się, obmyła twarz zimną wodą i zadzwoniła na swą garderobianę, której z najobojętniejszą

Ciąg dalszy na stronie 213.



Podczas swego pobytu w Polsce, feldmarszałek Goering złożył wizytę p. min. Beckowi.

dość na Feldernie tym, żeś go w klubie publicznie zbeształ cały świat go teraz omija jak trędowatego. Jest on, jak gdyby wykluczony z naszej sfery. Czy nie słyszałeś, co hr. Brisen kiedy tu opowiadał? Skoro się Feldern ukaże w jakiejś restauracji, wszyscy mają obawę, aby nie usiadł przy ich stole. Nie odważa się pokazywać w klubie i nikt go więcej nie zaprasza. Mówią nawet, że go z klubu jako członka chcą wykreślić. Czyż możesz chcieć jeszcze większej zemsty, Piotrze? Czy chcesz go zabić w pojedynku i mieć później życie człowieka na sumieniu? Twój honor przecież w tej sprawie nie jest naruszony i dlatego nie śmiesz pierwszy Felderna wyzywać!

Zbliżenie się służącego przerwało hrabiance.

— Czego chcesz? — zapytał książę szorstko.

Służący podał na srebrnym talerzu kartę i rzekł:

— Ten pan przyszedł z wizytą.

— Juliusz Cezar Krach — przeczytał książę zdziwiony i zwróciwszy się do służącego, zapytał:

— Czego on chce? Czy to jaki komiwojażer?

— Nie, jaśnie panie — odparł służący — pytałem go się, a on mi powiedział, że przychodzi tu w osobistej sprawie księcia pana.

— Przyprowadź go — rozkazał książę — zostań przy mnie, Bello — dodał, widząc, że się hrabianka chce oddalić — ja nie mam żadnych tajemnic z panem Krachem.

Po kilku minutach zjawił się znów służący, prowadząc jakiegoś bardzo elegancko ubranego pana, którego z dala już czuć było różnymi perfumami.

Zdjąwszy kapelusz, okazał nowoprzybyły sztucznie wyfryzowaną głowę i rumianą, pospolitą twarz. Ukłoniwszy się głęboko kilka razy, rzekł pan Juliusz Cezar Krach:

— Czy mógłbym mieć zaszczyt pomówić z jaśnie księciem, sam na sam?

— Mocno żałuję — rzekł książę chłodno — ale zdaje mi się, że kuzynka moja, hrabianka Gurlichingen może wszystko słyszeć, co pan ma do powiedzenia.

— Jaśnie pan przeczytał z pewnością moją wizytówkę — rzekł obcy zmieszany, siadając na wskazane mu krzesło i mnąc cylinder w ręku.

— Juliusz Cezar Krach — powtórzył książę wyniośle — czy pan może jest wspólnikiem firmy Krach i Immermann?

— Bardzo słusznie, jaśnie panie — zawołał przybysz uradowany — jestem rzeczywiście wspólnikiem pana Immermanna.

— Przychodzi pan mi pewnie polecić swoje wina — rzekł książę znudzony.

— Nie, jaśnie panie — odpowiedział Krach — przychodzę z polecenia pana asesora Felderna i mam w imieniu jego wyzwać księcia Petöfiego — dodał.

— Co, pan! spytał książę ze szczerym zdziwieniem — czy Feldern nie mógł sobie już innego sekundanta znaleźć?

— Sądzę, że się pan Feldern nie starał o innego, odciął się Krach, podrażniony — pan asesor Feldern słyszał, że książę już wyzdrowiał i polecił mi, abym w jego imieniu żądał satysfakcji za doznaną obelgę. Zostawia on jaśnie panu wyznaczenie miejsca, czasu, broni, i dystansu.

— Dobrze panie Krach — rzekł książę z dumą — przyjmuję wyznanie pana Felderna i będą się z nim pojedynkował, ale nie teraz, jestem jeszcze zanadto osłabiony i muszę to dlatego na razie odłożyć. Gdy się będę czuł o tyle silnym, że będę mógł bronią władać, poślę panu asesorowi swego sekundanta; nie potrzebuje pan się więcej fatygować.

Krach popatrzył na niego, spodziewając się, czegoś więcej, a gdy książę uparcie dalej milczał, zapytał:

— Czy to jest wszystko, co panu Feldernowi mam powiedzieć?

— Tak — potwierdził księżę obojętnie to jest wszystko! Bello — rzekł, zwracając się znów do kuzynki — opowiedz

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

LIST

Przyszedł z daleka i był różowy,
Tak pachniał ślicznie słońcem i łąką,
Więc zaraz zgadłam, że był od ciebie,
Że przyniósł z sobą koniec rozłąki.

I w dniu tym wszystko nabrało nagle,
Jakiegoś sensu i jakiejś treści...
O, jak nie wiele sercu potrzeba,
Gdy jeszcze młodość i zapał mieści!

O, jakże mało sercu potrzeba,
Gdy wreszcie przyjdzie ten list najmilszy
I później leży na ciemnym stole,
Jak płatek róży, opadły w ciszy.

Schylam się nad nim, jak nad świętością
I czytam jeszcze: „że wciąż pamiętasz,
Żeś wesół, zdrowy, że kochasz mocno
I... cieszysz się, że wkrótce już — Święta".

Maria Zemmlerówna.

DWIE KOLEŻANKI

„Wesoły Łobuz spod Działdowa" i *„Malutka z Pomorza"*. Oj, coś mi się zdaje, że za długo milczałyście, Dziewczynki, nie wiem, czy „Kraina" pamięta Was jeszcze? Teraz się poprawcie i dbajcie o nas równie serdecznie, jak my o Was, Żółtodzióbki „Krainy"! Pamiętajcie też nadesłać swoje adresy!

Bura już była, zatem teraz przejdźmy do komunikatów:

Pierwsza z nas, „Wesoły Łobuz spod Działdowa", przesyła pozdrowienia „Tęsknocie z Działdowa". Halo! „Tęsknoto" — mieszkam blisko Ciebie!

„Tam Ryszardzie". Śliczne są zdjęcia Pana. Widziałam je. Chciałabym i ja je mieć! Znam kogoś smutnego, kto często wspomina Pana i polecił mi przesłać Panu pozdrowienia. Daj znak w „Krainie".

Poza tym przesyłam pozdrowienia „Kaktusowi", „Jesionowi", „Majowemu Chrabąszczowi", „Wirrytowi", „Leszkowi z Zielonej Doliny", „Smutnej Czwórce z Tuczna".

Druga z nas, „Malutka z Pomorza", przesyła pozdrowienia Marysi Majewskiej z Radzyna.

„Zaczarowana Cyganeczko". Czy się domyślasz, kim jestem? Jestem tą, którą los podobnie okrutnie dotknął, jak i Ciebie. Lecz nie smuć się! Żyć lekko, przepływać przez życie potrafi każdy — za to czuć rozkosz w podawaniu chorym rodzicom lekarstwa i pielęgnowania ich dane jest tylko osobom wybranym.

„Marylko"! Czy otrzymałaś pocztówkę z Grudziądza? Jeżeli tak, to dlaczego mi nie odpisujesz? Mocno całuję Twą dobrą i słodką buzię!

„Szara Dziewczynko". Często bywam w Twoim mieście. Może napiszesz do mnie? Mój adres poste - restante Radzyń Chełm. (Pomorze) dla Janki K.

LIST Z POMORZA

„Szyderca". „Przeglądając pobieżnie zeszyty „Moich Powieści", widziałem nieraz ten tytuł na jednej ze stronic: „Kraina szczerości i naszych trosk", a niżej, trochę z lewej strony, na pierwszym zawsze planie: podkreślone: „Dobre rady p. Zofii".

Raz zaciekawiony zbliżyłem się po cichutku, do tych swoich „krainiaków" i co oni jej chcąc podsłuchać, co też ta p. Zofia mówi opowiadają — i odtąd wciąż czytam, choć nie znam nikogo z tej dziwnej, „Rodziny", której członkowie i owa tajemnicza p. Zofia w tak serdecznych ze sobą żyją stosunkach.

Postanowiłem i ja do Pani napisać — jest Pani taka miła i serdeczna w swych radach — gawędach dla wszystkich, daleka a bliska! Czytam nieraz, jak Cię, Pani, o zdjęcia Twe proszą, pytają się o wiek Twój, chcą wiedzieć, czy piękną jesteś — ale odpowiedzi na to są zawsze wymijające. Jeśli postać Swą osłaniasz Pani tajemniczą zasłoną, to jednak serce swe dobre odkrywasz przed wszystkimi i z tej właśnie strony dajesz się poznać.

Na listy swych „Krainiaków" i „Krainianek" odpowiadasz Pani ciepło, kochanie i serdecznie, na niektóre zaś zwięźle i powściągliwie — to już zależy od treści tego listu, na który się odpowiada.

W odpowiedziach tych jest miłość siostrzana, przyjaźń serdeczna, koleżeńska i czułość i miłość macierzyńska. Różnego w tych odpowiedziach wieku domyślać się można.

Ja też chciałbym należeć do „Krainy" i nawiązać korespondencję z miłymi „Krainiankami". Dlaczego? Bo jestem tu, na Pomorzu od niedawna, na posadzie, którą tu na przeciwnym i odległym krańcu Rzeczypospolitej otrzymałem, nie znam więc nikogo, smutek, pustkę i samotność chciałbym wypełnić i zastąpić przez słowa wysyłane do tej podobno serdecznej „Krainy".

Proszę o przyjęcie mnie do swego licznego grona.

By zaś Pani wiedziała kogo przyjmuje do swej rodziny muszę odsłonić przed Panią przyłbicę:

Jestem 26-letnim młodzianem, ciemnym blondynem średniego wzrostu. Jestem krakowianinem z krwi i kości i kocham swój stary, sławny i królewski gród, jestem zapalonym turystą, nie znam jednak jeszcze całej Polski. „Przerzuciłem" dopiero pięć województw. Szaleję za jazdą na deskach w zimie (tylko, że tu na Pomorzu śniegu każdy narciarz łaknie, chociaż jezior w bród) a w lecie na kajaku i rowerze. Marzę od dawna o motocyklu. Kocham, tak piękno poezji jak piękno natury, choć rymów w wierszu składać nie umiem, a już najzapaleńszym to jestem fotoamatorem, choć dopiero o sześcioletniej przeszłości.

Jestem na państwowej posadzie. Służba ma piękna i zaszczytna.

Ale najgorzej to — czuję już będzie z moim pseudonimem, bo nikt takiego dziwacznego nie ma, a jest on prawdziwy i stosowny dla mnie i taki chcę mieć! Pozdrowienia dla wszystkich".

HUMOR TO ZDROWIE!

„Henry". Dobrze, Przyjacielu, że tak uprzejmie pamiętasz zawsze o dołączeniu parunastu słów dla mnie podczas, gdy Wujkowi Januszowi przesyłasz swoje tworzywa!

Ja również pamiętam o Tobie i z przyjemnością ogromną odczytuję Twoje słowa.

Więc wychodzi na to, że oboje uśmialiśmy się z owego „buzi na rączkę" — ja bezpośrednio, a Ty pośrednio. Nie szkodzi — humor to zdrowie!

No, życzę Panu dużo dobrego i posyłam mocny uścisk dłoni!

A teraz komunikaty:

T. Teresa O. Rosnówko.
Co tam z piszczącą lalką? —
Wolałbym żywą — taką swoją,
z odzwierciedleniem uczuć, etc.
Pozdrawiam!

„Czarnocka Blondynka II.
Odwzajemniam pozdrowienia.
— Dlaczego Panie nie ślą listów,
tylko pozdrowienia?! Wolałbym listy!... —
— Otóż — „Fakir" — to ja!

„Samotna Rusałka".
Poznań, a Lidzbark, to tak daleko!
A szkoda... Bardzo serdecznie dziękuję
i pozdrawiam!

PIELĘGNUJ MŁODZIEŃCZĄ BEZTROSKĘ!

„Waldy". Oj, łobuzik z Pana, „Waldy"! Uśmiałam się znowu serdecznie z tych Pana potężnych zakusów na moje wszystkie dziesięć palcy — kto by się zresztą nie śmiał na takie śmiałe dictum!

Więc zobaczymy, zobaczymy, czy ta zachwalana i ponoć tak zwycięska „Waldego" odwaga nie zachwieje się i nie zadrży w chwili stanowczej.

Wierzę natomiast, że bawił się Pan świetnie w karnawale. Niech i nadal nie zapomina nasz „Braciszek" o uśmiechu i radości, niech zawsze pielęgnuje młodzieńczą beztroskę!!!

A teraz komunikaty:

„Bajko" — Blondasku śliczny, przemiły! — Przyjmij pozdrowienia i nie bądź tak okrutną. Czy pamiętasz te śliczne tanga w „E"? A nie wybierasz się przypadkowo do P.? — Chętnie bym przyjechał. — „Półdiablę Weneckie" — wspaniała zaczepka! — Niestety!!!

„Bella - Donna"!!! Nie po dżentelmeńsku — wiem, lecz przychylić się do prośby mimo chęci nie mogę. Uścisk dłoni odwzajemniam ze spotęgowaniem uścisku w dwójnasób!"

ZAŚWIECI

„Mała Konwalijka". Dlaczego to nie miałabym już kochać mego smutnego kwiatka — co? Smuci mnie tylko, że ten „Kwiatuszek" znowu drży pod wichrem tęsknoty i może od smutków meukojonych. Ale nadzieja powinna nie opuszczać konwaliowych dzwoneczków, bo zaświeci niedługo jasne, gorące słońce i utuli je serdecznie. Zobaczysz, że zaświeci!

A „Krainiacy", mam nadzieję, nie zapomną o Tobie!

„Przedwiośnie". Słodko, dziękuję za wierszyk dla mnie! Rozumiem Twoją smutną i szlachetną duszę. „Czarny Hajduczku" — całuję buzię Najkochańszej z Kochanych!

„Maruto", szaleję z radości, że będę matką chrzestną Twego pierwszego dziecka.

„Biała Uajali". Pisałam do Ciebie i ? ? kocham — jak będziesz mogła, pisz.

Może napisze do mnie kto z Panów? Kocham szumiące bory, i jasne, szlachetne, smutne dusze — muzykę — i prawie cały świat! Piszcie do mnie obojętnie skąd, byle szczerzy i serdeczni. Moc uśmiechów za śliczne wiersze p. Baranowskiemu, Płóciennikowi, H. Waligórskiej i Marii Zemmlerównie.

Pozdrowienia dla „Myśliwego", „Przybłędy Leśnego", „Rolnika" i „Iuvenalisa".

UWAŻAJ!

„Rozśpiewana Izabella". Ciekawa jestem, czy już wyzdrowiałaś kompletnie — nie należy zapominać, że pozostałe osłabienie i ból głowy mogą łatwo zamienić się w początki anemii. Uważaj na siebie i staraj się dobrze odżywiać oraz dużo spać!

Za fotografię uprzejmie Ci dziękuję, sprawiłaś mi nią miłą niespodziankę. Zdaje się, że dam ją do „Krainy".

W sprawie Ci wiadomej odpowiadam tak! Postaraj mi się być zdrową i pisz!

Halo! „Słodka Dary", znamy się. Pozdrawiam!

Romek zasyła pozdrowienia, i moc buziaków".

„Wesoła Pomorzanko", ktoś Ty? napisz, na pewno pomyłka, o ile nie, to proszę dać szybko odpowiedź z wyjaśnieniem.

„Bajkał" — proszę o odpowiedź. List wysłałam do R. Moc pozdrowień!

„Wicha" — znam Panią z opowiadania „Scholastyki", która obecnie jest w Cz. Proszę napisać do mnie, a odpowiedź murowana. Serdeczne pozdrowienia. Wszystkim „Krainiakom" zasyłam pogodne uśmiechy.

ZMIENIONE PSEUDONIMY

„Arita", *„Laila"* i *„Zawiedziona"*. Trzy te panienki zmieniły pseudonimy i pod nowymi przesyłają Wam komunikaty:

„Halo! „Czarnulko ze Świecia" — tu „Laila", mam najszczerszą chęć poznania Pani, gdyż bywam w tym miasteczku. Czy się zgodzisz? Pozdrawiam i czekam na odzew.

„Baśko z Wągrowca", przyjmij serdeczne pozdrowienia od kogoś, gdzie spędziłaś Wielkanoc 1937 roku.

„Romeczku z Korpusu J. H. P. Bronowice" — ślę milutkie pa! domyślasz się od kogo?

Słowa uznania za piękne wiersze ślę Panu Multańskiemu, czy zechciałby poświęcić jakiś wierszyk dla „Laili"?

„Stefku z Grudziądza" — czy nazwisko Twoje rozpoczyna się na Z., o ile tak, to znamy się. Przyjm pozdrowienia od „Zawiedzionej".

Halo! „Zawiedziony" — tu „Zawiedziona", przyjm radosne uśmiechy od kogoś, kogo chciałbyś poznać, a nie udaje się!...

Uznanie za piękne wiersze ślę „Wieszczce Kwiatów", „Blance" i p. Adamowi Czekalskiemu. Może ten ostatni poświęci choć króciutki wierszyk dla „Zawiedzionej"? Bardzo ucieszyłabym się. A Ty, „Wieszczko Kwiatów" — czuję dla Ciebie, Droga, dużo sympatii.

„Arita" — chciałaby nawiązać korespondencję z jakimś miłym „Krainiakiem". — Czy otrzyma liścik?

JESZCZE JEDEN ZMIENIONY PSEUDONIM!

„Skowronek". „Apeluję do wszystkich „Krainiaków", ażeby nie mieli żalu do mnie, że im nie chcę zdradzić kim jestem i proszę, żeby raczyli do mnie napisać! Przede wszystkim proszę, ażeby napisał ktoś z powiatu grudziądzkiego. Może by napisał do mnie „Zawiedziony"? Chętnie nawiążę z Panem korespondencję, czy napisze Pan? — Czekam!

„Reniu z Kolna" — wiesz kim jestem? Pozdrawiam Cię oraz Jadzię, Twoją koleżankę. Panie Fr. Lew... czy Pan mieszka jeszcze w Radzyniu! Jak się Pan upowodzi? Proszę niech Pan skreśli do mnie choć parę słów.

„Ado — Marzycielko" czekam na list i zarazem proszę o adres. W korespondencji zdradzę, kim jestem, teraz nie mogę.

„Wesoły Broneczku" — proszę napisać, a powiem pod jakim pseudonimem kryłam się dawniej!!!

Miłe „pa"! zasyłam całej „Rodzince" i proszę o pamięć!

CEŃ TO!

„Dzikuska". Cudownie, że Ci tak niefrasobliwie układa się życie! Ciesz się i ceń to nalezycie!

No, karnawał się już skończył, teraz zajmiesz się czymś pożytecznym — prawda? Życzę pomyślności!

„Śmieszko z Pomorza" — jesteś kochaną Dziewczynką. Całuję buzię i przesyłam moc serdeczności!

„Banialuko" — dużo, dużo pozdrowień!

„Rewelers" — dziękuję za przesłane pozdrowienia, które odwzajemniam.

„Wesoły Broneczku" — dziękuję za pochlebną ocenę mego zdjęcia, ale czy nie przesadził Pan! — Przesyłam pozdrowienia.

W końcu przesyłam moc uśmiechów i pozdrowień dla wszystkich „Krainianek" i „Krainiaków"!

ZMIENIŁAM NIECO PSEUDONIM

„Dzidzi III". Rzeczywiście nie podobał mi się podany przez Panią pseudonim, więc go nieco zmieniłam. Sądzę, że nie będziesz miała nic przeciw temu.

Uważam, Dzieciaku, że nieco wyolbrzymiasz wagę swych trosk. Troski nie mogą już od kolebki gnębić człowieka — nie! Weź no się mocno w dłonie i powiedz sobie, że życie nie jest takie znowu najcięższe, a zobaczysz, że ono rzeczywiście zwolna będzie Ci się wydawało coraz lżejsze i milsze.

Wszystko po trochu zależy od samego człowieka i od tego, jak on się do tej, czy innej rzeczy nastawi. Twoim moralnym obowiązkiem jest obecnie usiłowanie nastawienia się na pogodniejsze, że tak powiem, tony. Może po dłuższych próbach wygrasz pieśń pogody, jeżeli już nie szczęścia. Ale nie! Ja nie wątpię, że i Ty nawrócisz się do wiary w wartość i dobro życia. Tylko chciej, chciej mocno, Maleńka!

Całuję Cię i donoszę „Te - Emowi", że posyłasz mu słowo pozdrowień, a całej „Krainie serdeczności i bratni uścisk dłoni!

WIEM

„Bursztynowe Serduszko". Tak, Dziecino, nie mogę Ci skreślić połowy komunikatów, bo wiem, że rzeczywiście rzadko piszesz i choć mam skrupuły, daję wszystkie do druku.

Pytasz mnie, ile już lat wychodzi tygodnik „Moje Powieści" — otóż szósty rok. Do dziesięciolecia jeszcze daleko — prawda?

Ładnie to z Twej strony, że modlisz się za duszę śp. „Stelli Maris" i że przyrzekłaś sobie dać w maju na mszę żałobną.

O jakiej to drodze życia, która nie przynosi nigdy rozczarowań i żalu — myślisz? Mnie się zdaje, że nie ma takiej drogi w życiu, która by nie przyniosła pewnych rozczarowań — żalu może nie, ale rozczarowania zawsze! Tylko, że nie należy zrażać się tym zbyt silnie. Jak nie ma drogi bez rozczarowań, tak nie ma zadowolenia po zdobyciu rzeczy łatwo osiągalnej.

Napisz mi przy najlepszej sposobności, co u Ciebie nowego, a na razie przyjm moje serdeczne pozdrowienia.

Halo! „Bajko". Czy łączyła Cię nić przyjaźni z śp. „Stellą Maris"? Jeżeli tak, to daj znać w „Krainie", czy mogę do Ciebie napisać? Żegnam cię i całuję mocno. Wiesz, „ktoś" już dawno pragnąłby do Ciebie napisać, bo jesteś tak bardzo kochaną — nie zapomnij o co Cię proszę!

„Złote Słoneczko" — napiszę na pewno, ale dopiero w maju. Przyjm moc całusków. W maju, gdy zaświecisz jasno, „Krzysia" będzie pisała liścik do Ciebie.

„Zapomniana Syleno". — Przyjaźń moja nigdy Ciebie nie zawiedzie. Myślę często. Napiszę w maju. Kocham Cię bardzo, boś smutna! całuję, jak zawsze, mocno!

„Zbijobruk Poznański". Wiem, że jesteś bardzo sympatyczna. Widziałam się z „Tym", co zachwycał się moją fotografią — pamiętasz?. Ślę Ci moc serdeczności, daj buzi!

„Elżuniu z Torunia". Minkę mam zasmuconą, tak często o Tobie myślę. Serdeczne uściski.

Drodzy „Krainiacy"! Proszę Was bardzo — może ktoś zamieści wierszyk dla mnie na moje imieniny na 13 marca. Tak bym chciała, by ktoś pomyślał o mnie, tak bardzo proszę, nie odmówcie mi i skrobnijcie wierszyk dla Krzysi, a będę wdzięczna. Dla „Samotnej Maruty" serdeczne pozdrowienia. Uśmiechnij się!

Dla pp. Krystyny Waligórskiej i Korewieckiej serdeczne pozdrowienia!

Pozdrawiam ślicznie „Revelersa", „Jasia - Sokoła". Dla „Stella" uśmiech słodki. Dla „Marzenki z Ameryki" serdeczne uściski z kraju. Czy słuchasz „Audycyj dla Polaków z Zagranicy" i czy nie tęsknisz za krajem?"!

Również moc serdeczności dla „Echa Wsi", „Smutnej Eli".

P. Michałowi Lipskiemu z Brodnicy przesyłam śliczne pa, jestem często w B., może się spotkamy? Wszystkim z Brodnicy wagon serdeczności.

„Czarnooka Wando"! Jeśli jesteś w L. poznasz mnie niedługo. Daj buzi na zadatek — zgoda"?

DO ADMINISTRACJI

„Puszczyk I" i „Puszczyk II" chcieliby się bliżej zaznajomić z „Krainiakami". Prosimy Was, „Krainiacy" Drodzy, o przyjęcie do swego grona.

Jesteśmy dwoma „puszczykami" — jeden jest większy, a drugi jest mały. Bądźcie dla nas, prosimy łaskawi i przyślijcie nam dużo listów".

Ja natomiast oznajmiam „Puszczykowi I", że wierszyk oddałam do Teczki Wujka i proszę o nadesłanie dokładnego adresu! Numer piąty może „Puszczyk" otrzymać, po przesłaniu 30 gr. do naszej administracji.

ZADOWOLONA JESTEM

„Śnieżyca". Ucieszyłam się mocno, że odpowiedziałaś mi listem na moje wezwanie i nadesłałaś swój adres.

Zupełnie nie mam zamiaru stawiania veta w sprawie przesyłki Twej podobizny — przeciwnie, bardzo jestem zadowolona z obietnicy, którą obyś wykonała szybko!

Pozdrawiam Cię i przedrukowuję komunikaty:

„Mikuś", co robisz? Znam Ciebie. Czy nie chcesz do mnie napisać? Pozdrowienia dla Natana i jego siostry Jadzi.

Uznanie specjalne dla p. Adama Czekalskiego"!

SYPIĄ SIĘ NA BIURKO ZESCHŁE IGIEŁKI...

„Sarenka". Mam poważny wyraz twarzy i oczu, gdy odpisuję na któryś już list z rzędu. Trudno być wesołą, gdy się poznaje i przeżywa smutki ludzi sobie tak bliskich, acz tak dalekich dziesiątkami kilometrów przestrzeni nas dzielącej.

Biorę nową, koloru lila kopertę i nagle sypią mi się na biurko zeschłe igiełki choinki, srebrzą się cieniutkie paski staniolu i padają na okrągły kawałek bieluteńkiego opłatka. Przez twarz błyskawicą przelatuje zdumienie, a potem nagle wykwita z niej serdeczny, ciepły uśmiech — mam go w oczach, na wargach i w sercu.

Myślę o Tobie, Mała „Sarenko" — czytam wesołe, beztroskie zdania i stwierdzam ,po raz już nie wiem który, że ludzie, którym się w życiu dobrze wiedzie, przeważnie są dobrzy dla swego otoczenia. Dobroć ich wypływa z własnego zadowolenia i z potrzeby oglądania wokół siebie twarzy również zadowolonych. Sieją i rzucają oni dobroć i uśmiech, jak zerwany mimowoli zielony listek i nawet nie myślą głębiej o tym, że ją nam dają.

Ty dałaś mi też taką chwilę serdeczną — dziękuję Ci za nią!

Życzę Ci dużo dobrego i zasyłam całą głębię uśmiechu, który sama wywołałaś.

Teczka Wujka Janusza

ODESZŁA

Z cyklu: „Szept wieczoru".

Sądziłaś, że twoja miłość będzie trwała
wiecznie,
Że ona będzie Cię zawsze kochała
Mocno i szczerze... Ot — sercem całym,
Że pójdziesz z nią przez życie z uśmiechem,
bezpiecznie.
Tymczasem minęła miłość, tak jak dzień mija,
Noc smutku nadeszła, noc rozczarowania,
Bo koniec już kochania,
Bo twoje serce już teraz niczyje.
Ona odeszła od ciebie na zawsze,
Wyśmiała ciebie i tę twoją miłość,
A ty się z bólu wijesz
I przeklinasz los, że nie był łaskawszy
Dla ciebie, niż dla innych...
Chciałbyś, by wróciły twe lata dziecinne.
Gdyby wróciły znów byłbyś szczęśliwy,
Ona odeszła, lecz ty przecie żyjesz,
Więc przyjdzie szczęście, poda ci swe dłonie,
Boć szczęście wszystkich jest, a nie niczyje,
Więc twoje serce miłością jeszcze zapłonie.

„Te - Em".

LEPIEJ...

P. Kora L. Wiersze chaotyczne i za długie. Na przyszłość nie rokuję Pani żadnych na dziei. Lepiej poszukać sobie innych zainteresowań.

JAK TO MIŁO!...

„Willy". Jak to miło z Pana strony, że znowu Pan napisał! Treść pocztówki jest tak lakoniczna, że zasadniczo powinienem mieć do Pana o to pretensje, jednakże rozbraja mnie pewna rzecz, mianowicie ten cudowny splot wyrazów — „myślę często i pamiętam". Kapituluję... i mocno ściskam dłonie!

POETĄ TRZEBA SIĘ URODZIĆ...

„Jodła". Droga Pani! Jeżeli chodzi o umiejętność pisania wierszy, to nie pomogą żadne lekcje ani nauki, gdy nie posiada się talentu. Poetą trzeba się urodzić, podobnie, jak rodzi się człowiek ze zdolnościami malarskimi. W przeciwnym razie szkoda fatygi, trudu i poświęceń, gdyż talentu sztucznie wykrzesać nie można. Proszę, niech Pani powyższe weźmie sobie do serca i nie próbuje więcej rymować, skoro to Panią kosztuje tyle trudu i mozołu. Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam!

SPOTKANIE Z UPIOREM

Nie wychylaj się z ciemności, o maro upiorna,
nie patrz, tak dokładnie znam twoje spojrzenie
i twoją biel postaci, o maro wieczorna —
i, która tak namiętnie kochasz noc i cienie.

Już widzę twoją rękę, dłoń zsiniało-trupią,
jak ją do mnie wysuwasz z fałd nocnej ciemności.
Dłonie nasze się łączą — ja człowiek, ty upiór,
moja dłoń jest gorąca, zimna twoja z kości.

Milczysz, stojąc nieczuły, ani jedno słowo
nie dobędzie się na świat z zamkniętej ust
szczęki.
Ja nie witam cię słowem, ty nie witasz mnie
mową,
tylko w wichru poświście słychać twoje jęki.

Tadeusz Rawicki.

Raj kobiet

Kobiety w granatowych mundurach

Najlepszą policją kobiecą na świecie. — jest policja polska. Taką opinię o polskiej policji kobiecej usłyszał prezydent Francji p. Lebrun na przyjęciu oficjalnym delegatów międzynarodowego kongresu komitetów do walki z handlem kobietami i dziećmi, który odbył się niedawno w Paryżu. Opinię tę złożyła przedstawicielka Anglii, podkreślając, iż policja angielska wzoruje się na urządzeniach policji polskiej.

A urządzeń tych jest wiele. Opieka nad nieletnimi, kobietami, nierządem, narkomanią, tysiąc różnych czynności pomocniczych zarówno z organizacjami, jak i nadzorem lekarskim — to w krótkim zarysie działalność policji kobiecej w Polsce.

Założona w r. 1925 przy Komendzie Głównej P. P. szkoliła już kilkakrotnie zastępy nowych policjantek, które następnie rozsyłano po miastach prowincjonalnych, po uprzednim obsadzeniu wszystkich placówek w Warszawie. Poza zwykłą pracą w urzędach śledczych — dla czynności policji kobiecej utworzono Izby Zatrzymań dla nieletnich.

W Warszawie Izba ta znajduje się przy ul. Krochmalnej, poza tym prowadzi się już szeroką opiekę nad nieletnimi w Łodzi, Wilnie i Lwowie.

Praca w Izbie Zatrzymań przy ul. Krochmalnej wre zarówno w dzień, jak i w nocy. Codziennie kilkudziesięciu młodocianych włóczęgów obojga płci przechodzi przez Izbę. Zatrzymany przez policjantkę i odprowadzony do Izby po złożeniu pożądanych wyjaśnień (nazwisko, adres i powód włóczęgostwa) młodociany obywatel po dokładnym wyszorowaniu, ubrany w czysty szlafrok, nakarmiony — czeka w świetlicy na dalsze losu swego koleje. Wzywa się rodziców, oddaje pod opiekę, umieszcza w zakładzie, lub zawodowego włóczęgę kieruje się do sądu dla nieletnich.

Są różni spryciarze: amatorzy silnych wrażeń, którzy uciekają po prostu z domu rodzinnego, by zakosztować opieki policjantek; są znów tacy, których rodzice, chcąc pozbyć się zmartwienia porzucają dzieci na ulicy, by zaopiekowała się nimi policja, lub organizacje społeczne.

Nie tylko z włóczęgostwem nieletnich ma codziennie tyle pracy policja kobieca. Walka z nierządem sutenerstwem i handlem żywym towarem — stanowi obszerny dział pracy dla policjantek, przydzielonych do urzędów śledczych przy komendach powiatowych na terenie całej Polski.

Jakie daje wyniki ta praca świadczą wymownie dane ze wszystkich dziedzin, w których policja kobieca działa lub choćby interweniuje. Wprawdzie istnieje jeszcze w Polsce wywóz dziewcząt do krajów zamorskich, prowadzony przez agentów międzynarodowej szajki handlarzy żywym towarem, którzy pod różnymi pretekstami usiłują otumanić naiwne dziewczęta i wywozić je przez Gdańsk, Katowice lub Rumunię do Argentyny, czy Brazylii.

Jednak policja kobieca nie tylko walczy z przestępstwami tego rodzaju, ale przez umiejętne podejście i potraktowanie tego zagadnienia, zmniejsza wydatnie ilość kobiet, zajmujących się nierządem. Rok rocznie kilkadziesiąt kobiet tego rodzaju, porzuciwszy swój haniebny proceder, wraca do społeczeństwa

I nic dziwnego, że w takich warunkach pracy — policja kobieca spotyka się z powszechnym szacunkiem w Polsce i gorącym uznaniem za granicą.

Kłopoty zdobywczyni Atlantyku

Smukła, rasowa sylwetka Mrs. Beryl Markham stała się ozdobą salonów paryskich. Po triumfalnym przelocie przez Atlantyk z Europy do Ameryki, Mrs. Markham powróciła do Londynu, by po dniach wielkich triumfów umknąć od owacyj — do Paryża.

Ale i tu jej nie dają spokoju. Musi być wszędzie i opowiadać, opowiadać bez końca o swych przygodach.

Młoda kobieta poddaje się z pobłażliwością towarzyskim „torturom". — Do jednego tylko trudno ją namówić: aby nosiła kapelusz. Nie tego nie uczyni za nic w świecie, od dawna bowiem przyzwyczaiła się chodzić bez kapelusza.

— Wiatr czesze moje włosy — mówi z uśmiechem potrząsając jasną czupryną, która doskonale pasuje do jej suchej twarzy sportsmenki.

Raz zdarzyło się jednak, że Mrs. Markham, wbrew chęci, musiała włożyć kapelusz. Działo się to na wyścigach w Longchamp, gdzie panuje obowiązkowa „gala" i gdzie nawet słynną lotniczkę obowiązuje powłóczysty strój spacerowy.

Przyjaciele wstąpili po lotniczkę, — była już ubrana.

— No dobrze, ale kapelusz?

— Nie mam kapelusza.

— To niemożliwe. Do takiej sukni kapelusz jest konieczny i to elegancki.

Było to w niedzielę. Wszystkie sklepy zamknięte na mur. Cóż robić? Lotniczka skorzystała z uprzejmości dziennikarki amerykańskiej i pożyczyła od niej kapelusza. Konwenansowi stało się zadość.

Uzasadnione przesądy

Dr. August A. Thomen, docent wydziału medycznego uniwersytetu w New Yorku, ogłosił w jednym z amerykańskich tygodników lekarskich artykuł prostujący niektóre przesądy popularne wśród ludzi.

Po LEWEJ STRONIE

Dziewięćdziesiąt procent ludzi, gdy zapytać ich, gdzie jest serce, wskazuje na lewą stronę swej klatki piersiowej, kilka centymetrów powyżej mostka. To fałszywe mniemanie bierze się stąd, że największa z komór sercowych, komora lewa, pompuje krew, znajduje się z lewej strony serca w dolnej jego części. Dlatego też słyszy się uderzenia serca silniej po lewej stronie klatki piersiowej. Gdyby jednak przez środek ciała ludzkiego przeprowadzić linię, dzielącą je na dwie równe części, wówczas okazałoby się, że po lewej stronie ciała znajduje się taka sama część serca, jak i po prawej

CZY NIEBOSZCZYKOM ROSNĄ WŁOSY?

Szeroko rozpowszechniony jest pogląd, wypływający z fałszywego spostrzeżenia, jakoby włosy rosły jeszcze po śmierci człowieka.

Dr. Erazm Wilson zauważył słusznie, że zaobserwowane po śmierci człowieka rośnięcie jego zarostu, wynika z nacisku skóry zmarłego na cebulki włosowe, a nie z tego, że cebulki te zachowały swą żywotność.

Rekordzistki małżeństwa

Kto? Artystki teatralne, gwiazdy kinematograficzne, manekiny z magazynów mód?

Nie. Proszę sobie wyobrazić wychowawczynie i dozorczynie chorych.

Nie rozstrzyga w tym wypadku uroda, ani pochlebne uwielbienie przez mężczyzn. Raczej o „ciche cnoty". Zimny kompres i termometr, opieka nad samotnym i chorym mężczyzną, który jest stworzeniem najniedołężniejszym na świecie — to najlepsze przewodniczki uczucia.

17 proc. wychowawczyń, opiekujących się dziećmi po śmierci matek, w ciągu dwóch lat wychodzi za wdowca. Ile procent sióstr miłosierdzia wychodzi za swoich pacjentów — ściśle nie wiadomo, ale wiadomo, że dużo.

Od czasu wprowadzenia regularnej osobowej komunikacji lotniczej, zwycięsko wkroczyły do tej statystyki stewardessy statków powietrznych. Dlaczego? Bo kompanie lotnicze angażują śliczne dziewczęta. Sytuacja nad chmurami sprzyja widocznie rozwojowi sentymentów, bo ciągle trzeba zmieniać personel gospodarczy żeński pasażerskich samolotów.



St. 2494



St. 2493

St 2494 Kolorowy len lub ryps nadaje się na tę poduszkę, ozdobioną haftem w dowolnych kolorach. Rozmiar 50/60 cm.

St. 2493 Oryginalna poduszka z szarego płótna lub rypsu, o rozmiarze 50/60 cm, haftowana kolorowym jedwabiem.

Rady praktyczne

Zniszczone meble zmyć dobrze terpentyną. Jasny lub ciemny szelak, zależnie od koloru mebli, rozpuścić w spirytusie denaturowanym i płynem tym za pomocą miękkiego gałganka pocierać meble.

* * *

Plamy powstałe z białka, cukru, kleju, krwi, likieru, mleka, piwa, serwatki, twarogu i żelatyn usuwa się doskonale letnią miękką wodą.

* * *

Ceraty, które straciły połysk, odświeża się przez nacieranie pastą z żółtego wosku i terpentyny, po wyschnięciu wypolerować wełnianą szmatką.

* * *

Ceraty nie należy myć mydłem i sodą. Każdą plamę trzeba natychmiast usunąć gorącą wodą, bo gdy raz wsiąknie, nie można jej już wywabić bez szkody.

* * *

Noże czyści się przekrajanym kartoflem maczanym w utłuczonej cegle.

* * *

Noże i widelce używane do ryb lub śledzi, często zachowują nieprzyjemny zapach, nawet po starannym umyciu. Należy je spłukać alkoholem, a zapach zniknie.

* * *

Obuwie można uczynić nieprzemakalnym nacierając skórę czystą szczotką, zmaczaną w roztworze 1 części parafiny, rozpuszczonej w 10 częściach benzyny. Naturalnie, robi się to na zimno, w dzień w pokoju, gdzie nie ma ognia. Sposób drugi, także skuteczny: 1/8-mą kilo baraniego łoju, zmieszać z 45 gramami wosku i 30 gramami żywicy, wrzucić do pół litra lnianego oleju, rozmieszać starannie i tym płynem nacierać obuwie. I jeden i drugi sposób uczyni skórę nieprzemakalną.

Wygotować garść kory dębowej w takiej ilości wody, ażeby wywar był mocny i nacierać tym obuwie. Po wyschnięciu skóry smarować

ją wazeliną lub olejem rycynowym, który wsiąkając w skórę czyni ją miękką i giętką. Pastą natrzeć dopiero, gdy tłuszcz wsiąknie zupełnie, a potem wyszczotkować.

* * *

Świat i życie

Mężczyźni będą niepotrzebni?

Co da niebawem ludzkości biologia? Takie pytanie zadał współpracownik paryskich „Nouvelles Litteraires", Janowi Rostandowi, wybitnemu biologowi francuskiemu. Rzecz oczywista, że miał na myśli zdobycie wiedzy w stosunkowo niedalekiej przyszłości, gdyż nikt nie potrafi przewidzieć, do czego kiedyś człowiek dojdzie.

Tymczasem jednak — jak twierdzi Rostand — nie zanosi się na to, by nauce udało się przedłużyć normalne życie ludzkie. Nie można powiedzieć, żeby ten cel był nieosiągalny, ale obecny stan wiedzy nie wróży rychłego i poważnego sukcesu pod tym względem.

Natomiast uczony francuski zapowiada sensacyjny przewrót, prawdziwą rewolucję, której nauka dokona w przyrodzie. Kobiety będą rodziły bez zapłodnienia przez mężczyznę.

Wobec tego dziecko będzie dokładną kopią matki, odziedziczy po niej wszystkie cechy (bo po kim innym mogłoby dziedziczyć?) i to bez najmniejszych zmian.

Tak by musiało być, a ludzkość składałaby się stale z takich samych osobników (co za nuda!), gdyby nie wdała się w to znowu nauka, by naprawić swoje dzieło. Rostand przewiduje, że będzie się ulepszało gatunek ludzi za pomocą różnych środków chemicznych.

Dziennikarz, który usłyszał te przepowiednie był wprost przerażony. Nie takich dobrodziejstw spodziewał się po nauce. Ale Rostand uspokoił go: nie taki diabeł straszny, jak go malują. Biologia, zapewnił, nie będzie nadużywała swojej ogromnej potęgi. Skąd ta pewność? Czyż nie widzimy, że nauka często służy polityce, która używa jej do celów nie mających nic wspólnego z dobrem ludzkości? Więc może dziennikarz nie bez racji się przestraszył.

Ze świata

Człowiek, który wojował we wszystkich krajach

Fenomenem swego rodzaju jest mieszkaniec Hollywood, Robert Wyndham. Człowiek ten, liczący dziś 40 lat, brał udział we wszystkich wojnach, jakie rozegrały się w ostatnim czasie. Był w Chinach, Abisynii, Paragwaju, a ostatnio w Hiszpanii.

W czasie wielkiej wojny był pilotem w armii angielskiej. W 1924 roku walczył jako pilot w armii generała Czang Tso Lina. Między jedną wojną a drugą oddawał się swemu ulubionemu zajęciu, skokom ze spadochronem. Bilans tej działalności zamyka się pokaźną cyfrą ponad 1000 skoków, z wysokości nie poniżej 1000 metrów.

Robert Wyndham nazywa siebie sam „człowiekiem, który nie ma nic do stracenia". W Hollywood zapisał się do klubu lotników, nazwanego „eskadrą samobójców". Członkowie tego klubu muszą każdej chwili być gotowi do wykonania karkołomnych sztuczek dla sensacyjnych filmów.

Wojna i niebezpieczny zawód akrobaty lotniczego i skoczka przyniosły Wyndhamowi liczne rany i obrażenia cielesne. Człowiek ten doznał uszkodzenia czaszki, uszkodzenia kręgosłupa 9 razy, po ostatnim wypadku przeleżał 2 tygodnie bez przytomności, złamania prawej ręki dwa razy, złamania prawego napięstka raz, kilkakrotnego złamania obu nóg, 1 raz złamania nogi w kostce, złamania czterech żeber w prawym i wszystkich w lewym boku. W wojnie chińskiej w 1924 r. stracił lewą rękę. Jednoręki kaleka nie zawahał się pójść na wojnę w Abisynii i Hiszpanii.

Śmierć „niekoronowanego" króla Danii

Nie tak dawno odbył się w Kopenhadze pogrzeb śp. Andersena, zwanego powszechnie „niekoronowanym królem" Danii — jednego z potentatów żeglugi światowej, kierownika o światowym zasięgu przedsiębiorstwa „Wschodnio-Azjatycka Kompania".

Dziwny to był pogrzeb: skromny wóz pogrzebowy, prosta drewniana trumna, tylko dwa wieńce (od żony i króla Danii) i parę osób konduktu pogrzebowego, pomimo, że nadesłano setki wieńców, od Lloyd Georga począwszy, a na królu Syjamskim skończywszy. Bowiem taka była wola zmarłego, aby pogrzeb odbył się skromnie i cicho. Toteż poza paru osobami najbliższymi z rodziny, za trumną postępowali tylko król duński Chrystian X i książę Waldemar — najbliżsi przyjaciele zmarłego.

Trzeba dodać, że zmarły był człowiekiem, dla którego nie było w ogóle „drzwi zamkniętych" nawet pałaców królewskich i cesarskich, z którego opinią liczyło się przez dłuższy okres wiele gabinetów europejskich.

Andersen urodził się przed 85 laty w maleńkim wówczas miasteczku duńskim Nakskov. Wcześnie stracił ojca, a biedna matka zaledwie nauczyła go czytać i pisać. Mając lat 13 poszedł na morze jako chłopiec okrętowy. Po siedmiu latach, dorobiwszy się w międzyczasie stanowiska marynarza, znalazł się w Syjamie. Port Bangook w tym czasie był jeszcze mało znanym miasteczkiem o zabagnionych okolicach, a handel państwa syjamskiego odbywał się na około 150 krypach żaglowych. Największa z nich była własnością króla i na tę Andersen został zaangażowany jako szyper.

Przedsiębiorczy młodzieniec od razu zorientował się w możliwościach eksploatacyjnych egzotycznego Syjamu. W niedługim czasie załadował dwa żaglowce egzotycznym drzewem, przywiózł do Europy i zarobił 1000 procent. Powróciwszy, wkrótce stał się doradcą syjamskiego króla i obaj rozpoczęli cywilizować egzotyczny i pierwotny kraj.

W roku 1890 Andersen był już milionerem, cieszącym się solidną opinią wśród międzynarodowego kapitału. Mając nieograniczony kredyt, postanowił rozszerzyć zakres swych interesów i założył „Wschodnio-Azjatycką Kompanię" z licznymi przedstawicielstwami żeglugowymi, plantacjami surowców kolonialnych, zakładami przemysłowymi i handlowymi rozrzuconymi od Władywostoku do Kopenhagi. Różne przedsiębiorstwa żeglugowo-handlowe były stworzone przez niego w Rosji, Szwecji, Francji, Syjam, Indie, Malakka, Chiny, Mandżuria i Wsch. Syberia były w zasięgu szerokich interesów handlowych Andersena.

Między innymi był on twórcą „Rosyjsko-Wschodnio-Azjatyckiego T-wa Żeglugowego", „Rosyjsko-Amerykańskiej Linii", „Bałtycko-Amerykańskiej Linii", a pośrednio i naszej „Linii Gdynia-Ameryka", bowiem pierwsze statki „Polonia" „Kościuszko" i „Pułaski" zostały wydzielone z Kompanii Andersena, dla nowoutworzonego polsko-duńskiego przedsiębiorstwa „Polsko-Amerykańska Linia Żeglugowa".

Przedsiębiorstwa Andersena były tak solidnie prowadzone, że ani wojna, ani rewolucje nie zachwiały ich istnieniem. Podczas wojny Andersen był pośrednikiem w poufnych zabiegach pokojowych między Niemcami a Rosją oraz Anglią. W związku z tymi sprawami był parokrotnie przyjmowany osobiście przez cara Mikołaja II, króla Jerzego VI i cesarza Wilhelma II. Wprawdzie misja Andersena nie doprowadziła do pozytywnych rezultatów, niemniej udało się przeprowadzić wiele spraw natury humanitarnej między walczącymi stronami.

W swej ojczyźnie Danii, zmarły cieszył się wyjątkowym poważaniem. Wprawdzie odmawiał sobie wszelkich oficjalnych stanowisk, tytułów i odznaczeń, niemniej był autorytatywnym doradcą z jednej strony króla, a z drugiej wszystkich ministrów i gabinetów, począwszy od konserwatystów, a skończywszy na skrajnie socjalistycznych. Dodać należy, że Andersen nie udzielał nigdy żadnego wywiadu dziennikarskiego.

Zmarły zostawił pamiętniki, ale zastrzegł sobie ich opublikowania dopiero za lat 50. Widocznie zawierają one wiele sensacyjnych i ciekawych rewelacyj o próbach pośrednictwa pokojowego w latach 1915—16, o których wyżej mówiliśmy i o czołowych osobistościach politycznych okresu długiego życia zmarłego, kiedy postanowił udostępnić je dopiero tym, którzy za życia nie będą znali żadnej z opisywanych w pamiętnikach osób.

TADEUSZ RAWICKI

Z miłości

NOWELA

Zimny dreszcz, taki sam jaki odczuwa się na samą myśl o płazie, który z sykiem prześliznął się tuż u naszych stóp, łechtał nieprzyjemnie ciało Karola Bełzkiego. Tysiącem mrówek spacerował po ciele, dla akompaniamentu dzwonił zębami i drżące lekko wargi zmuszał do jeszcze większego drżenia.

I co było powodem tej ekspansji podskórnych mrówek, tego uderzania zębem o ząb i drżenia wargi? Chyba nie objawy malarii, groźnej dla zdrowia w krajach tropikalnych, ale nie tu w Warszawie i to przy dwudziestostopniowym mrozie.

Powodem dreszczów musiało być coś innego. Ale w takim razie co? Grypa? Mglisty, słotny listopad dawno się już skończył i epidemia grypy straciła na swej zaborczości.

Zresztą co tu dużo gadać. Karol nie czuł się ani odrobinę chorym. W biurze pracował normalnie, obiad zjadł z wilczym apetytem i wypił nawet szklankę herbaty, co się nigdy nie zdarzyło.

I teraz w niespełna godzinę po obiedzie wypiłby znowu coś i zjadł. Zadzwonił na gospodynię.

— Niech Katarzyna poda szklankę gorącej herbaty, dużo cukru i ciastka, tylko ekspresem.

— Herbaty? Co to pan Karol tak dzisiaj pije? Czy aby pan nie chory? Może w takim razie aspirynę...?

— Nie trzeba, tu nikt nie jest chory, a przynajmniej nie ja. Herbaty chcę i koniec. Słyszy Katarzyna... herbaty!

Gosposia zrobiła przepisowo w tył zwrot, wzruszając ramionami jak człowiek, który niewiele rozumie o co chodzi i wybiegła z pokoju.

W głowie nie mogło się jej pomieścić. Taki anioł z tego pana Karola, taki uprzejmy, nigdy nie pił herbaty, chociaż stale przypominała... a może jednak szklaneczkę ze sokiem, może z cytryną? Zawsze odmówił.

I teraz nagle coś mu się stało. Najzwyczajniej w świecie chłopak zwariował. Hm, a kto wie... może jakaś dziewczynka? Ale herbata niewiele mu pomoże...

Zaniosła do pokoju tacę z szklanką, cukrem z ciastkami.

Bełzki stał oparty plecami o kaflowy piec. Przyjemne ciepło rozmarzyło go i nie czuł już dreszczy w takim stopniu jak przedtem. Zrobiło mu się znacznie lepiej, a skoro wypije ciepłej herbaty będzie zupełnie dobrze.

— Oto herbata, panie Karolu, gorąca, jeszcze syczy w szklance, niech pan nie sparzy ust.

— Dziękuję ślicznie Katarzynie. Ale dzisiaj mróz. Ten śnieg mógłby już wreszcie przestać, jak Katarzyna myśli?

— A mógłby.

Spojrzała uważnie na Karola. Już wszystko dobrze. Znowu ta uprzejmość i znowu ten rozkoszny aniołek — przemknęło jej w myśli.

— Panie Karolu, a może by tak soczku wiśniowego do herbaty lub cytrynę?

— Niech będzie sok, przynajmniej herbata nie będzie taka anemiczna. Lubię kolory.

Zadzwonił łyżeczką w wnętrzu szklanki i patrzał na znikające kryształki cukru. Gorąca woda najzwyczajniej w świecie przywłaszczyła je sobie. Zniknęły i śladu po nich nie zostało. Jedynie smak.

Karol zbliżył szklankę do ust.

— Dobra herbata i pomyśleć, że jeszcze wczoraj patrzałem na nią ze wstrętem. Nie lubiłem herbaty i nie piłem jej. A jednak w życiu można się do wszystkiego przyzwyczaić gdy człowiek musi. Nawet do picia herbaty!

— Przecież pana nikt do tego nie zmusza. Ja, broń Boże, przypomniałam tylko...

— Wiem, że Katarzyna nie, ale ktoś i to nie trybem rozkazującym pij! Katarzyna rozumie... pewne okoliczności, przyjęcia, podwieczorki, wizyty — każą pić. Nie można wymówić się nieużywaniem danego napoju czy nielubieniem go. Tym więcej gdy chodzi o herbatę. Herbaty nie lubi? Dziwny człowiek, wody mu podać.

— W takim razie, panie Karolu, jedyna rada... nigdzie nie bywać.

— Tak, ale ja muszę! Od wczoraj nie mogę bez Niej żyć. A tam stale podawają herbatę. Z miłości dla Niej... nauczyłem się ją pić....

w świecie miną dała dyspozycje co do swej toalety obiadowej.

W pół godziny później, małe towarzystwo, w Lindenhof zebrane było do obiadu.

Na pierwszym miejscu siedziała księżna, po prawej jej stronie hrabia Brisen, a po lewej hrabia Sellentin, bawiący jako gość w Lindenhof, obok tego ostatniego siedziała hrabianka Izabella, a naprzeciw niej książę Piotr.

Bella zauważyła, że ją kuzyn jej od czasu do czasu z pod oka musztruje, ale starała się okazać obojętną i gawędziła żywo ze swoim sąsiadem.

Hrabia Brisen tak był oczarowany pięknością hrabianki, że stracił zwykłą swą zblazowaną minę i głośno jej swój podziw okazywał.

Bo też hrabianka Izabella cudownie tego wieczoru wyglądała w białej koronkowej sukni z różową szarfą. Nie była wydekoltowana, ale spod przejrzystej materii sukni zarysowywały się wyraźnie piękne ramiona i szyja. Jedynym jej przystrojeniem była bladoróżowa róża za paskiem i we włosach.

Hrabia Brisen tak nią był oczarowany, że zrezygnował z cygara poobiedniego i wszedł do buduaru księżnej, aby w towarzystwie Belli wypić filiżaneczkę mokki.

Książę Piotr był bardzo małomówny w ciągu obiadu, a że jako rekonwalescent miał prawo folgować swoim kaprysom, więc mu się nikt nie dziwił.

Dobrotliwy hrabia Sellentin, starał się daremnie go ubawić i wciągnąć w rozmowę, ale dostawał zawsze bardzo lakoniczne odpowiedzi.

W buduarze usiadł książę obok fotelu swej matki, Sellentin wyszedł, aby zapalić cygaro, a Brisen grał z Izabellą w szachy.

Petöfy patrzał na nich przez chwilę niechętnie i rzekł do matki:

— Czy mama nie uważa, jak hrabia Brisen Belli nadskakuje? Ona nie powinna na to pozwolić!

— Moim zdaniem Bella nie jest dość grzeczną dla niego. Byłaby to dla niej świetna partia, bo on jest ogromnie bogaty, a jej rodzice nie są w świetnych stosunkach i mają wiele dzieci. Byłoby to dla nich bardzo pożądane, gdyby choć jedną córkę dobrze zamąż wydać mogli!...

— Byłoby to szkaradne ze strony Belli, gdyby się tak sprzedała! — rzekł książę.

— Co za drastyczny sposób wyrażania się, mój synu — zganiła go księżna — dlaczego by Bella hrabiego nie miała polubić?

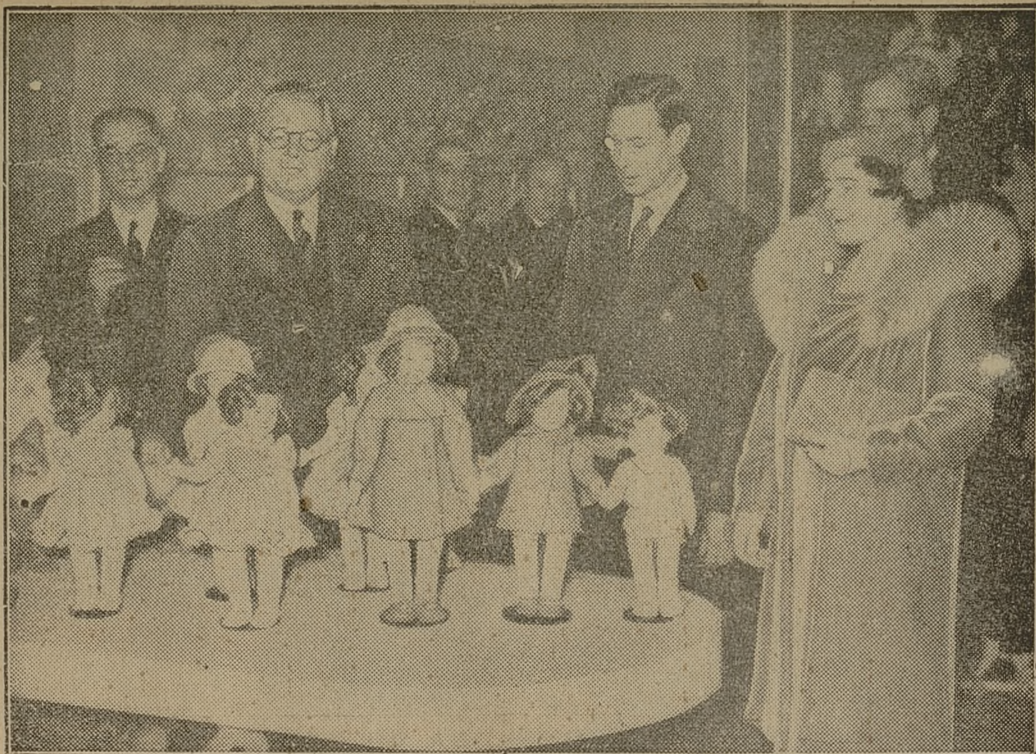
— Tego zużytego, zblazowanego człowieka? — zawołał książę oburzony. — Sama myśl jest dla mnie okropna! Szkoda by jej było dla niego!

— To już rzecz Belli — rzekła księżna, wzruszając ramionami.

— A mnie się zdaje, że mama powinna jej oczy otworzyć, że Brisen nie jest jej godzien.

— Nie moje dziecko — odpowiedziała księżna stanowczo — ja nie tykam się rzeczy, które nie do mnie należą. Nie rozumiem zresztą, dlaczego bym ją miała do Brisena zrażać. Używał życia jak tysiące innych mężczyzn, którzy mimo to zostają honorowymi ludźmi.

Książę skubał swój wąsik niezadowolony, lecz mina jego rozjaśniła się, skoro zobaczył zbliżających się do niego Brisena i Izabellę, po skończonej partii.



Rewelacją wystawy przemysłu w Londynie są lalki, będące wierną kopią córeczek angielskiej pary królewskiej, którą widzimy na zdjęciu.

— Kochana Bello — zawołała księżna — czy nie chciałabyś pojechać jutro przed obiadem do baronowej Wimpfen, w pewnej mojej sprawie?

— Z największą chęcią, kochana ciociu, — odparła hrabianka.

Na wzmiankę o baronowej Wimpfen uśmiechnął się hrabia Brisen lekko, przypominając sobie jej przejścia w Mediolanie, ale powstrzymał się, jako człowiek światowy i zapytał tylko:

— Czy baronowa Wimpfen mieszka tu teraz w pobliżu? Słyszałem we Wiedniu, że znikła bez śladu, a niektórzy przypuszczali nawet, że wstąpiła do klasztoru.

— Zrobiła coś wiele lepszego — rzekła księżna poważnie — bo starała się naprawić błędy swej młodości, czynami prawdziwej miłości bliźniego. Mieszka ona od pewnego czasu w swej posiadłości. Elpingen, w najbliższym naszym sąsiedztwie i cały swój czas poświęca nadzorowaniu domu sierot, szpitalu, domu inwalidów i licznym szkołom, które sama z własnych funduszów pozakładała. Pracuje dniem i nocą dla dobra swych protegowanych, i nie zna żadnych innych przyjemności. Uwielbiają ją tu w okolicy jak świętą, i w rzeczy zasługuje na pochwałę, dla swej prawdziwie chrześcijańskiej dobroczynności.

Hrabia Brisen umilkł i zamyślił się głęboko nad zmianą, która zaszła w Loli. Więc ta światowa, próżna, lekkomyślna kobieta tak się mogła przeistoczyć, aby całe swe życie oddać na usługi cierpiącej i biednej ludzkości?

Tak go to zajęło, że nie nadskakiwał tego wieczora więcej hrabiance, z czego się książę bardzo ucieszył.

W kilka dni później, siedziało małe towarzystwo w Lindenhof, przy śniadaniu na werandzie.

Poranek był cudowny, hrabianka Bella, w niebieskim porannym stroju, w którym jej cudnie było do twarzy, nalewała herbatę, którą lokaj roznosił. Inny znów służący podawał jaja, szynkę, zimny drób, i wyborne pieczywo. Prócz tego jeszcze była do wyboru kawa, czekolada i wino.

Rozmowa bardzo była ożywiona, bo księżna miała dar utrzymywania konwersacji na różne aktualne tematy.

Książę Piotr wyglądał dziś lepiej i zdawał się być spokojniejszy.

Wtem wniósł służący na tacy poranną pocztę. Księżna pozwoliła każdemu korespondencję niezwłocznie przeczytać, co też wszyscy z wielką chęcią uczynili.

Hrabia Brisen wydał okrzyk zdziwienia czytając swój list, i rzekł po skończeniu:

— Dostałem właśnie wiadomość, która mnie żywo dotknęła. Feldern umarł!

Wielokrotne: ah! wyrwało się z ust wszystkich obecnych, lecz Brisen zdziwił się niemało, widząc, że Bella tak zadowolona z wieści tej wygląda.

— Jak to się stało — zapytał Petöfy wstrząśnięty — czy śmierć była nagła?

— Tak jest — była odpowiedź Brisena — czy jaśnie księżna pozwoli, abym na głos przeczytał ustęp z listu przyjaciela mego Tüngena, dotyczący śmierci Felderna?

— Będziemy panu bardzo wdzięczni za to, panie hrabio — była odpowiedź księżnej.

Brisen zaczął czytać:

„Stało się dziś straszne nieszczęście, o którym cały Wiedeń mówi. Znasz pewnie asesora Felderna i słyszałeś prawdopodobnie, że go z klubu, jako członka wykreślono, i że go w ogóle w ostatnim czasie w naszych sferach unikano. Z tego powodu wszedł on w bardzo złe towarzystwo i zaprzyjaźnił się szczególnie z jakimś podejrzanym indywiduum, nazwiskiem Krach, który handluje winem. Z tym Krachem i innymi podobnymi ziółkami grał Feldern w karty, szalenie wysoko i przebąkiwano już o tym, że jest materialnie zupełnie zrujnowany, do czego się i baletnica Liza niemało przyczyniła. Wczoraj wieczorem był Feldern właśnie u niej ze swym nieodstępnym przyjacielem, Krachem.

Piło i grano przez całą noc, a asesor miał bardzo wiele przegrać. Było już prawie jasno, gdy stamtąd wychodzili i asesor okropnie widocznie pijany potknął



Burmistrz miasta Romford (Essex — Anglia) bada stan wyszkolenia przeciwlotniczego i przeciwgazowego swych obywateli.

się na kamiennych schodach, z których potoczył się na dół zabijając się na miejscu. Co za okropna śmierć. Kto by się spodziewał, że ten człowiek tak nędznie skończy?

Tu Brisen urwał i obejrzał się wokoło. Wszyscy byli przerażeni, na wszystkich twarzach malowało się współczucie i groza. Słyszeć się dały okrzyki żalu, tylko Izabella wysunęła się nieznacznie z werandy.

Przybiegłszy do swego pokoju, padła na kolana i wznosząc ręce ku niebu zawołała:

— Dzięki Ci Boże, żeś odwrócił niebezpieczeństwo od jego drogiej głowy! Będę zupełnie szczęśliwą, jeśli mi tylko wolno będzie być w jego pobliżu! Nie marzę nawet o tym, abym go kiedyś posiąść mogła!.

— — — — — —

Opuściliśmy przyjaciela naszego Samba w chwili, gdy uciekł z diamentami skradzionymi Zuzi.

Oglądał się początkowo ze strachem poza siebie, ale gdy się przekonał, że go nikt nie ściga, odzyskał zuchwałość. Śmiał się do siebie i gestykulując, monologował:

— A co by było, gdyby mnie dopędzili? Jestem wolnym człowiekiem, nie jestem żadnym czarnym niewolnikiem! Wolno mi iść, gdzie mi się podoba! Sambo jest wierny, uczciwy i pracowity! Sambo nic nie ukradł, niech mnie przeszukają, czy znajdą diament! Ha, ha, ha, nie taki Sambo głupi, żeby diament chował w kieszeń. Żeby znów można było zobaczyć ten błyszczący kamień!

Oglądnąwszy się wokoło, zobaczył małą osadę, do której skierował swe kroki. Po pewnym wahaniu wstąpił do chatki, w której zastał tylko starszą kobietę. Zdjąwszy swój brudny kapelusz, rzekł pokornie:

— Moja dobra pani, proszę użyczyć biednemu, staremu Murzynowi kroplę wody!

— Oto rzeka przed nosem — ofuknęła go kobieta — niełaska zaczerpnąć sobie ręką trochę wody z rzeki?

— Na Boga, niech się pani zlituje! — jęknął Sambo, Jestem stary i chory i nie mogę się schylać, bo mi się mdło robi! Utopiłbym się natychmiast.

— Nie byłoby nieszczęścia! — zawołała kobieta z wrogim spojrzeniem — gdyby świat był uboższy o jednego zakłamanego, złodziejskiego Murzyna.

— Na Boga, — jęczał Sambo — jaka pani nielitościwa dla biednego starego człowieka, którego śmierć opłakiwałaby wierna żona i siedmioro małych dzieci. Niech się pani zlituje i da choć jaki garnuszek do naczerpania wody.

Zniecierpliwiona kobieta wzruszyła ramionami, ale zwróciła się przecież do drewnianej półki z naczyniem i zdjąwszy z niej jakiś wyszczerbiony garnuszek, podała go murzynowi z niechętną miną.

Ten zaś przyjął pokornie niezbyt hojny datek i podziękowawszy zań, pospieszył w kierunku rzeki. Poprzednio jeszcze będąc w chacie, ukradł kawał mydła, korzystając z chwili, w której się właścicielka tejże po garnek dla niego odwróciła.

Idąc, przeklinał szczodrą dawczynię garnka, na czym świat stoi.

Zbliżywszy się do rzeki, zaczerpnął garnuszkiem wody i wrzuciwszy do niego kawał skradzionego mydła zaczął je suchym patykiem rozcierać, aby się rozpuściło.

Potem wypił tę mydlaną wodę w braku innego środka na wymioty, krzywiąc się przytem okropnie. Skutek był jednak pożądany, bo wymiotując, wydał Sambo też połknięty diament i podniósłszy go z okrzykiem radości, otarł go starannie swoim rękawem.

Nacieszywszy się jego ogniem, włożył diament pod język.

— I tu go nikt nie znajdzie! — zachichotał i rzekł potem:

— Muszę się jeszcze tej poczciwej kobiecinie odwdzięczyć, za jej dobroć!

Zmrużył przytem jedyne swe oko i diabelski uśmiech oszpecił i tak już szkaradną jego twarz.

— Czy jej mam dom podpalić? — zapytał głośno — to by był wyborny żart, ale boję się, aby mnie nie przyłapali i nie usmażyli żywcem.

Po chwili namysłu znalazł wreszcie sposób zemsty. Ukląkł na ziemi, napełnił dany sobie garnek błotem i podsunąwszy się pod okno chaty wrzucił go na środek nakrytego stołu, obryzgując zawartością swą pieczeń baranią z kartoflami, sałatę i inne potrawy znajdujące się na stole.

To uczyniwszy uciekł z głośnym, złośliwym śmiechem.

Niebawem wróciła gospodyni w towarzystwie męża i syna ze stajni, gdzie oglądali chorą krowę.

— Nie jest tak źle z nią — rzekła — ma apetyt i wyzdrowieje. Chodźmy i my do naszego jadła.

Nie przeczuwając nic złego weszła do izby, lecz spostrzegłszy spustoszenie na stole, załamała ręce z rozpaczy.

W pierwszej chwili nie umiała sobie zdać sprawę z tego co się stało, zobaczywszy jednak czerepy na stole, zawołała:

— Są to czerepy garnuszka, który dałam temu przeklętemu Murzynowi! Tak mi się odwdzięczył za moją dobroć! Ale odtąd tuzin takich czarnych drabów mogłoby umrzeć z pragnienia i głodu w moich oczach, a nie ruszyłabym ręką, aby im pomóc.

Mąż i syn jej chcieli pobiec za sprawcą i ukarać należycie, ale kobieta wstrzymała ich od tego przedsięwzięcia, mówiąc:

— Nie przyłapiecie i tak tego czarnego łotra! Siedzi pewnie bezpiecznie w jakimś schowku i śmiałby się do rozpuku z waszej pogoni. Tego tryumfu mu nie życzę. Zostańcie! Ugotuję trochę świeżych kartofli ze słoniną, abyśmy przynajmniej czym głód zaspokoić mieli.

Mężczyźni, zmęczeni i głodni, łatwo się dali namówić do zostania i odstąpili od zamiaru prześladowania Samba, który tym sposobem uszedł zasłużonej karze.

Miał przeszło 10 dolarów w kieszeni (także skradzionych Zuzie) i postanowił udać się do New Yorku, do gospody Biedermanna.

Dowiedział się przez Zuzię, jaki los spotkał chlebodawcę jego, pana Piotra Schulze; przypuszczał jednak, że on musi się gdzieś chować w New Yorku i że Biedermann pewno zna miejsce jego pobytu i wymieni mu je. Sambo kalkulował w ten sposób:

— Gdybym się tylko mógł dowiedzieć, gdzie się ten Schulze chowa, to już bym od niego potrafił większą sumę wydusić, niż u Zuzi, która pierwej każdy dolar od swego męża wydusić musi!

Dziesięcioma dolarami nie mógł Sambo jednak w żaden sposób dojechać do New Yorku, a diamentu swego nie chciał jeszcze na razie sprzedać. Każdy inny na jego miejscu byłby w wielkim kłopocie, ale chytry Sambo i w tym wypadku umiał sobie dać radę.

Zamiast odrobić swą przejażdżkę, wpadł na inny pomysł. Wlazł w gęste krzewy, rozebrał się, a później włożył ubranie swe tak, że lewą rękę pod nim schował, a rękaw lewy zwisał próżny.

— Tak — rzekł z chytrym uśmiechem, zadowolony ze swego podstępu — teraz Sambo jest biednym kaleką! Ma tylko jedno oko i jedno ramię i nikt mu teraz litości swej nie odmówi. Teraz Sambo z pewnością dojedzie ze swymi 10 dolarami do New Yorku i nie będzie potrzebował pracować!

Wyjął też swój diament z ust i zapakowawszy go starannie w chusteczkę, wsadził go do swego buta. Potem udał się do najbliższego przystanku dla parowców i siadłszy na kamieniu oddał się swoim myślom. Musiały one być bardzo wesołe, gdyż ciągle się uśmiechał.

— Muszę sobie zaraz kupić nowe ubranie — rzekł na głos — jakby mnie Aurora zobaczyła, to by się znów gorąco zakochała, ale ja kopnąłbym ją nogą, choćby mnie na klęczkach błagała. Niech ją diabli porwą z jej synkiem razem. Sambo jest mężczyzną w najlepszym wieku i ożeni się jeszcze z młodą, ładną panną, a nie potrzebuje pasierbów. Dałbym 10 dolarów za to, gdyby ktoś chciał donieść Aurorze, że Sambo się ożenił z młodą i ładną dziewczyną i że Sambo ją nienawidzi i nią pogardza!

Dumanie to jego, przerwał przeraźliwy sygnał parowca, który się szybko do przystani zbliżał.

— Teraz trzeba się zabrać do interesu — mruknął Sambo i zbliżywszy się do parowca, zaczął kapitanowi jęczącym głosem opowiadać historię swego kalectwa.

— Mam zamężną córkę w New Yorku, która by mnie chętnie przygarnęła, gdybym do niej przyjechał — rzekł błagalnie — ale mam tylko 5 dolarów całego majątku i jak pan kapitan się nade mną nie zlituje i nie zabierze mnie za te pieniądze, to chyba mi tu przyjdzie zginąć z rozpaczy.

Wspaniałomyślny i dobroczynny Amerykanin wysłuchał prośby biednego Murzyna i nie przyjął nawet jego 5 dolarów, za co mu Sambo w duszy wyraził swą pogardę.

Zaczął się teraz szczęśliwy czas dla Murzyna. Miał tyle do jedzenia i picia ile mu się podobało, a nadto nie miał nic do czynienia. Nie robił sobie nic z tego, że majtkowie z niego bezustanne żarty robili. Szydził on sobie z nich wszystkich w duszy, że mu się udało tak ich zdurzyć i wykorzystać.

— Sambo bogatszy jest od wszystkich tych obdartych majtków razem — tryumfował w duchu — macając, czy ma jeszcze w bucie swój ukryty skarb.

Nie smakowało mu to wcale, że dobijali już do celu podróży. Żegnając się, podziękował kapitanowi pokornie za łaskę mu wyświadczoną. Żona kapitana zaś, przystojna i przyjemna Niemka, taką dla niego uczuła litość, że zainicjowała składkę między pasażerami na korzyść Murzyna „kaleki" i wręczyła mu przy odejściu 20 dolarów, które dla niego z dobrowolnych datków uzbierała.

Sambo przyjął tę sumę uszczęśliwiony, dziękując za nią stokrotnie.

Promieniejący powodzeniem, mógł resztę podróży do New Yorku odbyć już bardzo wygodnie koleją.

Myślał nad tym, co ma pierwej począć, czy kupić nowe ubranie, czy poprzednio odszukać gospodę Biedermanna.

Po dłuższym namyśle zdecydował się na kupno ubrania, ale że już miał tylko bardzo mało pieniędzy przy sobie, musiał wpierw sprzedać swoje diamenty.

Wszedł ze swoim skarbem do pierwszego sklepu jubilerskiego, który mu się nawinął i położywszy kamień na stół, zapytał:

— Czy kupiłby pan ten kamień?



Na zaproszenie Pana Prezydenta R. P. przybył do Polski feldmarszałek Goering, by wziąć udział w polowaniu w Białowieży.

Jubiler oglądnął diament i poddał go próbie, a następnie zaczął badawczym okiem musztrować Murzyna.

Sambo popatrzył mu wyzywająco w oczy i zapytał:

— Czy pan jeszcze nigdy nie widział porządnego człowieka, że się pan tak na mnie patrzy?

— Skąd masz ten kamień? — spytał go jubiler ostro.

— Znalazłem go na diamentowych polach Afryki — rzekł Sambo — mam jeszcze dużo takich i większych nawet; niektóre tak duże jak kartofle!

— Czemuś tu wszystkich nie przyniósł? zapytał jubiler niezadowolony.

— Boję się z tym wszystkim wyjść na ulicę, bo jestem stary i bezsilny i mogliby mnie na ulicy łatwo obrabować!

— Mimo to doszedłeś tu z tym kamieniem! — rzekł znów jubiler.

— Bo mi potrzeba pieniędzy — odparł Sambo z godnością — ile pan daje za ten kamień?

— Dwieście dolarów — odparł kupiec.

Bez słowa odpowiedzi schował Sambo swój diament znów do kieszeni i wyszedł.

— Stój! — zawołał jubiler. — Czego uciekasz, jakby cię kto sparzył? Czy myślisz, że twój diament więcej wart niż 200 dolarów? Nie ma on ognia a forma jego tak zła, że po dokładnym oszlifowaniu będzie on o połowę mniejszy. Powiedz, ile ci mam za niego dać?

— 1000 dolarów — odparł Sambo spokojnie.

— No, to szukaj innego kupca w takim razie — zawołał złotnik rozgniewany — idź z Bogiem, bo ja nie mam pieniędzy do wyrzucenia!

Murzyn odszedł. Zwiedził on po kolei może 12 sklepów złotniczych i sprzedał wreszcie swój kamień za 400 dolarów.

Następnie kupił sobie w sklepie konfekcyjnym bardzo pretensjonalne i w oko wpadające ubranie i pojechał omnibusem do gospody Biedermanna.

Gospodarz przyjął go dość chłodno i kazał mu nawet z góry zapłacić za mieszkanie i wikt.

Sambo musiał chcąc nie chcąc, wypełnić jego żądanie i wziąwszy go przy tej sposobności na bok, zapytał o miejsce pobytu Schulza.

— Kto wie, gdzie on teraz już wisi! — zawołał Biedermann — nie mam czasu o niego się troszczyć!

— Sambo już i na to wpadnie — pomyślał — trzeba tu zostać i śledzić!

Zwróciwszy się do Biedermanna zażądał osobnego pokoju dla siebie, zaznaczając, że ma teraz wielki majątek.

— Jak chcesz — rzekł Biedermann i skinąwszy na parobka, kazał mu zaprowadzić Samba do pokoiku, który mu wymienił.

Murzyn zaprowadził swego współplemieńca do małej dziury, w której nie było nic, prócz łóżka i rzekł śmiejąc się: Przyjemnego mieszkania życzę!

— Dobrze, dobrze — rzekł Sambo z góry — możesz iść, nie potrzebuję cię więcej.

Po wyjściu parobka zamknął się Sambo na klucz, rozebrał i położył się do łóżka. Zasypiał już prawie, gdy usłyszał w sąsiednim pokoju głośną rozmowę.

— No, cóż? — rzekł silny głos męski — czy dotrzymałem słowa, panie Tullwer?

— Tak, trzeba ci przyznać, że jesteś diabelnie uczciwym chłopcem! — odpowiedział drugi głos. — Powiedziałem właśnie do Wakera, że drugiego takiego na całym świecie nie ma! Ale dlaczego nas tu sprowadziłeś, a nie do zajazdu marynarzy?

— Umyślnie to zrobiłem — odparł majtek — bo obawiałem się, aby mnie tam moi koledzy z wami nie zobaczyli.

Odkryli oni już bowiem na okręcie, że w przedziale towarowym musiał ktoś być podczas podróży, ale przypuszczali, że to tylko jeden pasażer być musiał.

— Ale chyba teraz nas już nie odkryją? usłyszał Sambo trwożny głos.

Podczas burzy w zatoce San Francisko, został rzucony o skały nadbrzeżne statek „Ohiran“ i prócz tego wieloryb.

— Co za głupie gadanie z twej strony, Waker! — była gniewna odpowiedź — nie maluj zaraz diabła na ścianie!

— Dobrze ci gadać, Tulliwer — irytował się Waker — ale jak niebezpieczeństwo nadchodzi, to jesteś pierwszym, który traci odwagę!

— Chcesz przez to powiedzieć, że jestem tchórzem? — zawołał Tulliwer, trzęsąc się ze złości.

— Cicho, nie kłóć się — krzyknął majtek — podzielmy się lepiej złotem!

Słysząc słowo „złoto“ zainteresował się Sambo rozmową i zaczął pilnie nadsłuchiwać.

Wkrótce usłyszał uderzenie młota. Zaintrygowany wyskoczył z łóżka i wybiegłszy boso ze swego pokoiku, stanął pod drzwiami sąsiedniego pokoju i zaglądnął przez dziurkę od klucza.

Przedstawił mu się tam zwodniczy widok.

Na ziemi leżał duży kawał łoju, wyrzucony przed chwilą z beczki, obok której stali wszyscy trzej mężczyźni, wybierając z niej złote monety, do których jeszcze tu i ówdzie przylepiony był kawał białego tłuszczu.

Oko Samba zabłysło pożądliwością.

Czem był nędzny jego dorobek 400-tu dolarów, wobec bogactwa, jaki się przed jego oczyma roztaczał? Szalona żądza posiadania złota ogarnęła Murzyna. Drżał na całym ciele z radości i nie mógł wyjść z podziwu, że ci trzej mężczyźni tak zgodnie i spokojnie się dzielą, i że sobie jeszcze ręce po przyjacielsku podają.

— Że też oni się wzajemnie nie zabijają! — dziwił się Sambo i drżąc z zimna, wlazł znów do swojej izdebki i śnił przez całą noc o lśniącym, gładkim złocie.

Nazajutrz hulał Sambo, jadł i pił z łapczywością wilka, odwiedzał lokale najgorszej reputacji i chodził równocześnie z dwoma damami. Słowem, opływał w błogości i zdawało mu się, że jest w raju. W tym wszystkim zapomniał o Schulzu, lecz nie spuszczał z okna Wakera i Tulliwera.

Przemyśliwał nad tym, jakby znaleźć sposobność okradzenia ich, ale na razie nic się nie nadarzało.

ROZDZIAŁ CCLXXIX.

Straszny koniec

Wiadomość o strasznej śmierci Felderna była prawdziwą. Pożegnał się z tym światem rzeczywiście w pijanym stanie.

Aby dać czytelnikom dokładny opis okropnego wypadku, musimy się cofnąć o kilka tygodni wstecz.

Po owej scenie w klubie, po której Feldern poznał, że jest odtąd z kół arystokratycznych wykluczony, opanował go silny upór.

Szydził w duchu z ich przestarzałych pojęć o niepokalanym honorze rycerskim, i czując, że go omijają, nie chciał się narzucać. Lecz nie mógł również znieść samotności, gdyż prześladowała go ciągle myśl o tym, ile stracił przez swoje intrygi

Prócz tego coraz silniej trapiła go tęsknota za Hortensją.

W niezgodzie z sobą i z całym światem, siedział Feldern pewnego wieczora samotnie przy butelce wina, w drugorzędnym lokalu gdyż nie miał odwagi pokazywać się w pierwszorzędnych.

Wtem przystąpił do niego jakiś mężczyzna, bardzo elegancko ubrany, którego powierzchowność jednak była nadzwyczaj trywialna.

Był to Juliusz Cezar Krach, handlarz wina. Zapytał wśród wielu uniżonych ukłonów o zdrowie asesora, z którym miał kiedyś przyjemność urzędowe sprawy załatwiać.

W końcu prosił o pozwolenie zajęcia miejsca przy stole asesora i umiał mu się tak przypodobać, że Feldern umówił się z nim na przyszły wieczór.

Zjawił się też nazajutrz wieczorem w umówionym lokalu z kilkoma swoimi przyjaciółmi, w których towarzystwie Feldern znalazł to, co szukał, a mianowicie; zapomnienie!

Grano w karty i piło, a Feldern nie martwił się, że przegrywał, pocieszając się tym, że od czasu do czasu wygrywał również.

Nie zastanawiał się tylko nad tym, że przegrane i wygrane nie były z sobą w proporcji. Pozwolił się też Krachowi zaciągnąć do baletnicy Lizy, która była kochanką Juliusza Cezara.

Była to piękna dziewczyna o regularnych rysach i matowej cerze, od której jej włosy odbijały wspaniale.

Z powodu tych włosów, nazywał ją Krach lisem.

Lis ten rzeczywiście posiadał zachłanność drapieżnika. Codziennie miała nowe żądania i życzenia. Schlebiała lub dąsała się tak długo, dopóki swego nie osiągnęła.

Z wrodzoną sobie przebiegłością, poznała wkrótce Liza hojność Felderna i wyzyskiwała go, jak się tylko dało. Więcej z niedbałości i aby się jej pozbyć, dawał jej wszystko, czego zapragnęła.

Feldern tak dalece już był moralnie podupadł ,że mu nawet samemu na myśl nie przyszło, wyzwać księcia Petőfiego na pojedynek.

Jednak Juliusz Cezar Krach, którego ambicją było wcisnąć się w arystokratyczne koła, tak długo rozdrażniał i namawiał, że ten się wreszcie zdecydował na pojedynek z księciem.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ułoż. Witold Mataczyński — Łysinin

	nych	to	
ciech	ny.	niec	tow
gwał	Gwał	u	i
	Ko	tow	

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

BILETY WIZYTOWE

HR. KŚ. WEŁ. O UTAKA

G. ORDON

K. LEWO

W jakich miastach polskich zamieszkują właściciele powyższych biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 18 marca br.

Rozwiązanie zadań z nr. 9 „Moich Powieści“: 1. Logogryf: Adam Czekalski. 2. Bilety wizytowe: a) Jadwiga Smosarska, b) Maria Bogda, c) Mieczysław Cybulski.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kiełbratowski A. — Poznań, Hodzierski Jan — Grudziądz, Janicki D. — Gniezno, Wiliński Jan — Krotoszyny, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Wiśniewska Helena — Wąbrzeźno, Laskowski Leon — Toruń.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Wilińskiemu z Krotoszyn i Wiśniewskiej z Wąbrzeźna.

ADAM NASIELSKI

12)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

Jaz odwrócił się z fasonem i dał gazu. Rozwidniło się zupełnie i teraz mógł widzieć, że pędzili na doskonale utrzymanej szosie. Po obu stronach ciągnęły się łąki. Wydało mu się to nieco dziwne, lecz na razie milczał. Gdy jednak po jeszcze kilkunastu kilometrach stwierdził brak jakichkolwiek zabudowań, zatrzymał wóz ponownie i odwrócił się stanowczo.

— Zgubiliśmy Chicago, Cliff. Wcale go nie widać.

— To jasne — nie zdziwił się Murzyn. — Odwieźli pana dość daleko. Odbyłem przecież tę drogę w Packardzie miss Murray. Może godzina drogi, a my jedziemy dopiero około kwadransa z przerwami i dość wolno. Niech pan przestanie gadać i da pełny gaz, a za pół godziny powinniśmy ujrzeć miasto.

— Jeżeli tak, to inaczej — rzekł Jaz nader ekscentrycznie i dodał z innej beczki. — Głodny jestem jak wilk po wielkim poście. I zmęczony. Od trzynastu godzin nie miałem nic w ustach i bezsenna noc na deszczu i niepogodzie. A ty?

— Mnie smakowało świetnie i proszę o jeszcze jedną porcję deszczu. — Cliff nie uważał za stosowne odpowiedzieć mądrze na głupie pytanie i zabrał się da capo do oglądania ciekawej konstrukcji obrotowej karabinu, umocowanego na tylnym siedzeniu Buicka. Jego oczy i twarz wyrażały dobitnie, że kapitan podoba mu się na lądzie o wiele mniej niż na morzu — o ile chodzi o przygodę.

Jazon Kent nie przejął się tym na oko i puścił motor w ruch z silnym postanowieniem zatrzymania go przed pierwszą restauracją na przedmieściu Chicago. Otworzył tłumik, aby zagłuszyć szum własnych myśli, lecz napróżno. Postąpił jak tchórz, co tu ukrywać: Gangsterzy porwali kobietę, którą kochał, a on jedzie, sobie najspokojniej do Chicago i chce powierzyć sprawę policji, nie spróbowawszy nawet ruszyć palcem z własnej inicjatywy. Cóż, kiedy nie widział innego wyjścia. Jechał więc z oczami wbitymi w śrubę na chłodnicy motoru. Zmęczyło go to szybko, podniósł wzrok i naraz zahamował po raz trzeci.

Bo oto o kilkanaście metrów na prawo ujrzał dom — i poznał go od razu. W tym domu uwięziono go po porwaniu, tu rozmawiał z zamaskowanym bossem. Słowem — zamiast do Chicago przyjechał prosto do siedziby gangsterów. Zrozumiał natychmiast przyczynę omyłki: wsiadł do wozu zwróconego do Chicago nie frontem lecz bokiem i...

Widział dwóch ludzi z karabinami biegnących wprost na nich. Krzyknął na Cliffa. Usłyszał terkot wystrzałów i dojrzał jeszcze, jak jeden z nadbiegających padł, trzymając się obiema rękami za kolano. Więcej nie mógł widzieć, bo wyskoczył z samochodu jak oparzony i rzucił się w krzaki, na lewo. Nawet nie wiedział co się stało z Cliffem i dopiero ciężki oddech biegnącego za nim Murzyna skłonił go do obejrzenia się i stwierdzenia, że to nie wróg. Zatrzymał się dopiero, gdy poczuł kłucie nadmiernie szybkiego oddechu w piersiach.

— Kapitanie — schwycił go Cliff za ramię. — A może żeby tak teraz spróbować. Ich było tylko dwóch — jednego trafiłem w kolano. Mamy teraz przewagę...

— Toś ty strzelił — zdumiał się Jaz. — No tak, któż by inny. Wewnątrz może ich być więcej.

— Nie!

— Skąd jesteś taki pewny?

— Przecież oni wyruszyli z Dionem na obławę na nas. Zabraliśmy im wóz. Zanim zdążą przebiec te pięćdziesiąt kilometrów, lub znaleźć inny wóz — uwolnimy tymczasem pannę Murray.

— O ile ona tu jest.

— Niech pan wyjmie rewolwer. Zobaczymy.

Stali za domem i cisza zaniepokoiła Jaza. Lecz rozumowanie Cliffa przekonało go połowicznie, resztę dopełniły ambicja i wyrzuty sumienia — postąpił o kilka kroków z pistoletem gotowym do strzału. Zauważył nieheblowane drzwi w tylnej ścianie i spróbował je otworzyć. Poddały się lekko i Cliff z kapitanem znaleźli się w wąskim kurytarzu, przecinającym budynek na przestrzał, na sposób amerykański, gdzie domy buduje się bez podwórka.

Przed nimi drzwi frontowe na drugim końcu kurytarza. Na ścianie z lewej licznik elektrowni, a z prawej poręcz schodów. Obok drzwi do jakiegoś pokoju. Jaz pchnął je z desperacją i poznał pokój, w którym siedzieli gangsterzy, w ścianie naprzeciwko otwarte drzwi do gabinetu, w jakim on był uwięziony. Poznał nawet portret kobiety, kosz, to samo małe biurko...

— Gdzie się mógł podziać ten drugi — zapytał mimowoli szeptem.

— Uciekł chyba, widząc, że jego kolega trafiony — i nas dwóch w ich samochodzie. Miał się czego przestraszyć.

— A Thelmy nie widzę.

— Sprawdzimy na górze.

— Posłucham cię, Cliff, lecz będziesz mnie miał na sumieniu po naszej śmierci. Za chwilę otoczą nas i skończone. Żywcem nie puszczą.

Schody na szczęście nie skrzypiały. Na górze była galeryjka i trzy pokoje. Wszystkie puste. Ani żywej duszy. Jaz chciał już wyjść stąd jak najprędzej, gdyż podłoga paliła mu się pod stopami, gdy usłyszał naraz dziwny szmer obok okna wychodzącego na tył domu. Zbliżył się i dostrzegł drzwi od komórki. Zanim zdążył się zdecydować, Cliff szarpnął klucz i do stóp kapitana upadła skrępowana postać. Ale jak mister Sedgwick teraz wyglądał: frak rozdarty, twarz skrwawiona — lecz żył. Świadczyły o tym oczy patrzące na Jaza z radością i z podziwem.

Montague Sedgwick nie wyrzekł ani słowa, bo to było niemożliwe. Ruchem głowy „poprosił", aby Jaz zdjął mu plaster z ust, co kapitan wykonał raczej pod wpływem odruchu i usłyszał wyraźnie, choć przytłumione:

— Dziękuję, kapitanie. Nagroda pana nie minie, jak bossa kara. Wiedziałem, że panu można zaufać.

— Panie... — zaczął Jaz.

— Niech mi pan szybko rozwiąże sznury, kapitanie. Oni lada chwila wrócą. Jak im pan umknął?

Kapitan ściągnął ramiona z determinacją. Widać sam los uwziął się na niego, aby uczynić zeń przywódcę szajki gangsterów w Chicago.

— Prędzej, Kent! Musimy uciekać. Mój samochód zamknęli w garażu. Odjedziemy w nim.

Ostatnie zdanie wpłynęło na decyzję Jaza. Wyjął scyzoryk z kieszeni i rozciął więzy Sedgwicka.

— Dziękuję — potrząsnął gangster jego ręką. A teraz wiejmy. Słyszałem strzały — to pan...

— Cliff. Trafił jednego w kolano. Lecz ja nie ruszę się stąd, skoro już jestem. Muszę znaleźć miss Murray.

— Nie ma jej tu. Odwieźli ją do Chicago.

— Jeżeli okaże się, że to kłamstwo, wybiję panu wszystkie zęby. Sedgwick. — Jazonowi było w tej chwili już zupełnie obojętne, co teraz nastąpi. Natomiast Sedgwick wziął to za niezwykłą odwagę i nie taił wcale swego uznania.

— Pan jest trochę dziwak, Kent — ale swój chłop.

Wszyscy trzej zeszli na parter i przez tylne drzwi wydostali się z domu. Przypuszczenie Cliffa musiało być słuszne — drugi gangster uciekł. Buick zniknął sprzed domu a wraz z nim ranny opryszek, po którym została tylko mała kałuża krwi na trawie.

Sedgwick zorientował się jednak u siebie w domu i bez zbędnych poszukiwań znalazł garaż. Wyłamali drzwi i wsiedli do Plymoutha bankiera. Sedgwick przy kierownicy, Jaz i Cliff za nim. Mister Montague skrę-

cił w jakąś polną drogę, wyjechał na inną szosę i tu puścił samochód pełnym biegiem. Nie minęła godzina i ujrzeli przed sobą wysoki blok Chicago. Przed przejazdem kolejowym zatrzymali się i musieli czekać na otwarcie bariery. Obok nich zatrzymało się kilka innych wozów, a na jednym z nich kapitan dojrzał mundur oficera policji, rozmawiającego wesoło ze swą towarzyszką, piękną blondynką. Jaz, który dotychczas siedział jak zaklęty, wyjął nagłym ruchem rewolwer, wyskoczył z samochodu i podszedł do czarnego Auburna.

— Nie wiem kim pan jest — rzekł szybko lecz wyraźnie — ale widzę, że nosi pan mundur oficera policji. Proszę aresztować tego pana — wskazał na oniemiałego Sedgwicka. — To jest przywódca szajki gangsterów. Na dowód, że mówię prawdę, może mnie pan zatrzymać wraz z nim jako świadka. Ta maskarada musi się raz skończyć.

Ujrzał, jak bankier sięgnął do tylnej kieszeni i odważnie wymierzył broń.

— Montague Sedgwick — jeżeli uczynisz jeden krok — zastrzelę cię. — I Jaz zwrócił się do zdziwionego oficera, który zrozumiał wszystko oprócz zdania o maskaradzie! — Przepraszam, że przerwałem panu towarzyską przejażdżkę w towarzystwie pani — skłonił się grzecznie — ale muszę pana wezwać do spełnienia obowiązku. Proszę nas aresztować! Chodzi tu o likwidację dwóch największych szajek gangsterskich w Chicago, które ponadto zajmują się szpiegostwem na szkodę U.S.A.

Po takim oświadczeniu oficerowi nie zostało nic innego jak przeprosić swą towarzyszkę i wydobyć służbowy rewolwer.

— Pańskie nazwisko — zwrócił się do Jaza.

— Kapitan Kent. Ale tamten jest ważniejszy — wskazał na bladego jak śnieg Sedgwicka. — To jest morderca, gangster i szpieg.

Jazon odwrócił się i mruknął do Cliffa.

— Spodziewałeś się takiego zakończenia, stary?

— No, captain.

— Czy pan przypadkiem nie żartuje — zapytał niezdecydowany oficer. To jest ciężkie oskarżenie.

— Bardzo ciężkie — przyznał Jaz wesoło. — Ale ja mówię wyjątkowo poważnie... Chodzi tu o sprzysiężenie, mające na celu wykradzenie tajnych planów U. S. Navy, będących w posiadaniu porucznika Richarda Murraya.

ROZDZIAŁ XXV.

JAZ - LITERAT

Pierwsze słowo Jaza w odpowiedzi na pytanie zadane mu w Departamencie kryminalnym było może niezupełnie odpowiedzią na pytanie o personalia — ale kapitan nie bardzo się tym przejmował.

— Dajcie mi jeść — rzekł i nie odezwał się przedtem nim nie skończył pałaszować. Oczywiście podzielił się uczciwie z Cliffem. W międzyczasie elegancki i młody komisarz mr. Lawson odszedł gdzieś i nieprędko wrócił. Przez ten czas Jaz miał możność doprowadzić do porządku swój wygląd zewnętrzny, uczesać się i zapalić. Cliff siedział obok niego w milczeniu. Nic dziwnego — pokój dla świadków w gmachu Departamentu Kryminalnego w Chicago nie jest bowiem zbyt sympatyczny. Owszem, czysty, nawet elegancki — ale w każdym wypadku nie zachęcający do towarzyskiej dyskusji.

— Wolę już kawiarnię, Cliff. To strasznie długo trwa.

— Właściwie nie mamy do czego się spieszyć, sir. Ale to była niespodzianka.

— Znów nie tak bardzo .Cóż innego mi pozostało. W dalszym ciągu wikłać się w tę historię? Teraz powiem wszystko fachowcom, prosto z mostu od a do zet i gotowe. Szkoda tylko, że to tak długo trwa...

Zamyślił się, bo przypomniał sobie po raz nie wiem który o porwaniu Thelmy. Trzeba mi to powiedzieć przede wszystkim. Niech natychmiast szukają, śledzą robią co mogą. Niestety musiał się pogodzić z niezbędną stratą czasu formalistyki urzędowej i odetchnął wreszcie z ulgą, gdy o jedenastej zjawił się mundurowy policjant w towarzystwie eleganckiego komisarza Lawsona.

— Pan kapitan Kent?

— Yes.

— Pan kapitan Jazon Kent?

— Yes.

Komisarz usiadł z namaszczeniem, otworzył teczkę, z której nic nie wyjął, zamoczył pióro, odłożył je i zapalił spokojnie papierosa. Potem spojrzał na Jazona tak jakoś dziwnie, że obieżyświat poczuł się trochę nieswojo.

— A ten pan?

— To mój służący i przyjaciel, mister Clifford Hallet.

— Mister... — wyrzekł znów komisarz i zapadł w milczenie, które zaczęło już Jaza denerwować, bo przecież miało chyba jakieś podstawy. Lecz i on nie odezwał się pierwszy, może właśnie dlatego.

— Co pan sobie właściwie myśli, Kapitanie Kent!

Jaz zdębiał. Ładny początek.

— Nie rozumiem.

Komisarz zdusił papierosa: — Wystąpił pan z niezwykłym oskarżeniem. Zapomina pan, że policja nie jest obiektem do głupich żartów. W biały dzień oskarżył pan obywatela naszego miasta i to tak bezczelnie, że polecił go pan aresztować jednemu z naszych oficerów.

— To nie był dowcip, panie komisarzu — zrozumiał nareszcie Jaz. — Oskarżam Montague Sedgwicka o to, że jest przywódcą szajki gangsterów i szpiegów. Przezwisko: Monty...

— Monty to zwykły skrót od Montague — przerwał mr. Lawson sceptycznie.

— Mniejsza o to — zapalił się Jaz. — Sedgwick to gangster i szpieg i ma zamiar wykraść tajne akta nawigacyjne, będące w posiadaniu porucznika Richarda Murraya. O te same akta ubiega się druga szajka gangsterów na czele której stoi człowiek przezwiskiem „bos". I... — tu Jaz uczynił umyślnie przerwę dla efektu. Ten bos to nikt inny tylko inspektor Buddy Wills z Chicago Criminal Departament. On to porwał wczoraj w nocy miss Thelmę Murray, która była ze mną na dancingu w Petit Gourmet i po moim porwaniu wyruszyła w pościg za gangsterami w towarzystwie Cliffa.

Spodziewał się wrażenia swoich słów. Lecz ten młody komisarz miał widocznie zimną krew i doskonale panował nad sobą. Spojrzał na Jazona badawczo i strząsnął popiół z papierosa. Potem rzekł wolno:

— Czy pan nie jest przypadkiem autorem powieści sensacyjnych, kapitanie Jazonie Kent?

— Tak!!!

— Niech pan nie krzyczy, kapitanie... Więc ja mam uwierzyć w tę nieprawdopodobną historię! Mister Montague Sedgwick jest popularnym i szanowanym bankierem, dyrektorem La Salle'a pan chce z niego uczynić nie mniej ni więcej — tylko gangstera. I szpiega! Haha! Pożatem oskarża pan powszechnie znanego i najzdolniejszego inspektora Buddy Willsa o należenie do szajki gangsterów. Ba! O jej przywództwo. Pan jest kompletnie wstawiony! Ot co!

Każde słowo akcentował uderzeniem obsadki o teczkę i dokończył twardo, urzędowo:

— Jakie pan ma dowody na poparcie swego oskarżenia.

— Do-wo-dy! — wyjąknął Jazon w osłupieniu. — Na co?

Komisarz Lawson wstał.

— Czy pan sobie kpi z nas? Może to pana drogo kosztować, kapitanie. Tak, dowody. Może mam aresztować dwóch obywateli naszego miasta na podstawie tego gołosłownego oskarżenia przez cudzoziemca, obcego, który nie wiem jeszcze dla jakich celów chce sobie zrobić reklamę.

— Ależ!...

— Żadnych „ale". Nie otrzymałem też żadnego zameldowania o zaginięciu miss Murray, a cóż dopiero o jej

porwaniu. I... pan jednak nie wydaje mi się pijanym! Proszę tedy o wyjaśnienie, kapitanie.

— Widzę, że z panem nie dojdę do ładu — nie zrezygnował jeszcze Jaz. — Chcę w tej sprawie pomówić z komandorem Seldonem Douglasem, szefem wywiadu.

— Pan ma niezłe informacje, mister Kent. Więc czemu nie wie pan o wyjeździe Douglasa do Europy.

— To nieprawda! Na własne oczy widziałem go wczoraj na dancingu w Petit Gourmet.

— Panu się śniło, kapitanie.

Jazon opadł bezradnie na krzesło. Wszystkiego spodziewał się, ale nie takiego rozwinięcia sprawy. Rozumiał jednak, że nerwami i krzykiem nie przekona tych głupich formalistów, tego komisarza. Tu trzeba pomówić spokojnie i na Boga! — bez nerwów.

— Panie komisarzu — zaczął wolno. — Przecież ja nie jestem wariatem ani powieściopisarzem sensacyjnym — jak pan powiedział — który chce sobie zrobić w ten sposób reklamę. Przyjechałem do Chicago, aby otrzymać posadę...

Dokładnie ,fakt po fakcie i spokojnie opowiedział wszystko, nie pomijając ani jednego szczegółu. Elegancki komisarz wysłuchał go nad wyraz poważnie i nie przerwał ani słowem.

— Dobrze, kapitanie. Przypuśćmy — uśmiechnął się z sarkazmem, a Jaz zaczął rozglądać się za jakimś twardym i „porzutnym" przedmiotem — że uwierzę temu co mi pan tu opowiedział. Ale niech pan sam orzeknie po zastanowieniu: Czy ja mogę na podstawie tak fantastycznej historii, bez dowodów, aresztować Sedgwicka i inspektora Willsa. Proszę bardzo — jakby pan postąpił na moim miejscu? Nie mówiąc już o tym, że — proszę mi to wybaczyć, cała ta historia ani mnie ziębi ani grzeje, nie mam doprawdy powodów do sympatyzowania z którąś ze stron — całe opowiadanie pana brzmi w pewnych punktach wręcz fantastycznie, dosłownie powieściowo, filmowo — lecz nie życiowo.

— Temu nie zaprzeczam. Ale to jest prawda.

— Widzi pan: Pieniądze dane obcemu człowiekowi, panna z dobrego domu, zapraszająca do siebie nieznajomego osobnika, ekscentryczna znajomość, szybka miłość, aż dwa porwania, pościg, zamaskowany bos, bankier na czele szajki gangsterów, tajne dokumenty, list z ostrzeżeniem, cyfra „23". Czy to nie brzmi jak owe bujdy na resorach, jakie wypisują o Chicago europejscy dziennikarze, którzy naszego miasta nigdy na oczy nie widzieli. „Chicago — miasto zbrodni" — fascynujące, ale jakże naiwne i głupie. I to wynajęcie luksusowego apartamentu w hotelu bez grosza przy duszy.

— A ucieczka Grety Garbo ,a wyjazd Marleny Dietrich, ponieważ chcą jej porwać córeczkę.

— Reklama filmowa Paramountu i Metro. Przestańże pan być naiwny ,gapitanie. Toż to nie wypada nawet...

— Ależ ja wskazuję nazwiska, świadków.

— Jakie?!

— Przede wszystkim porucznik Richard Murray, którego znam zresztą osobiście. Jemu chcą wykraść tajne plany morskie.

Komisarz zanotował sceptycznie: — Następni?

— Ranton, który był u mnie. Został zamordowany i ja domyślam się, że przez Sedgwicka. Trzy — komandor Seldon Douglas. Śledził mnie w przebraniu kramarza ze sznurowadłami.

— Ja też mam sznurowadła i też śledzę ludzi, mister Kent.

— Bez kpin — zdenerwował się Jaz. — Miałem na myśli sprzedawcę sznurowadeł. Wkońcu miss Thelma Murray — porwał ją Buddy Wills. Czy te nazwiska nie wystarczą.

— To się okaże.

Komisarz zamknął ostentacyjnie notes. — Zarządzę natychmiastowe sprawdzenie okoliczności w związku z wymienionymi przez pana nazwiskami i faktami. Jeżeliby jednak okazało się, że te ogólniki — bo tak mi się wydaje — nie znalazłby potwierdzenia, zostanie pan wprawdzie wypuszczony pod dozorem, lecz będziemy musieli wytoczyć panu sprawę o wprowadzenie władz w błąd. Sądzę wszelako, że pan się z tym liczył — dodał dwuznacznie:

— Róbcie co chcecie — wściekł się Jaz.

Elegant wzruszył ramionami i skierował się do drzwi.

— Na razie zatrzymam pana, co nie powinno być dziwne. Gdyby pan czegoś potrzebował — proszę zadzwonić.

Gdy drzwi zamknęły się za wychodzącymi, w pokoju zaległo milczenie. Cliff patrzał na swego pana, lecz nie odezwał się ani słowem. Jazon pochylił głowę i zacisnął pięści, aż go palce zabolały. Nie wiedział już co o tym wszystkim myśleć. Kto mógł przypuszczać, że oni mu najzwyczajniej nie uwierzą, że wezmą jego zeznanie za humbug, za trick reklamowy. Do licha!

— Cliff, czy ja wyglądam trochę jak wariat?

— Nie, kapitanie.

— I nie śniło mi się. Więc...

Murzyn milczał i Jaz nie dziwił się temu. Po tej scenie był chyba raz na zawsze zaszczepiony przeciwko zdziwieniu. A przecież on nie śnił — nie! I nie kłamał! Wszystko co powiedział, było wierutną prawdą. Nie ukrył ani jednego faktu, żadnego szczegółu. Opowiedział nawet, że wynajął apartament u Stevensa bez pieniędzy, oskarżył się sam... Cóż mógł więcej uczynić. Nic, nic. Nic!

— Thunder — storm! To brzydka sprawa, Cliff.

— Poczekajmy, sir. Przecież oni sprawdzą. A Thelma Murray potwierdzi nasze zeznania.

— Ona jest przecież porwana!

— Właśnie dlatego będą musieli uwierzyć.

— Masz rację — uspokoił się Jaz, zadzwonił i poprosił policjanta, aby kupił mu gazetę południową.

— Aresztantom nie wolno czytać gazet, sir.

— Ja jestem świadkiem.

— Jeżeli panu to określenie odpowiada, nie mam nic przeciwko. Gazety nie dostanie pan aż do przybycia komisarza Lawsona.

— Powieś się pan.

— Pan jest pijany, kapitanie — nie obraził się policjant i wyszedł.

Jazon usiadł zrezygnowany i prawdopodobnie nieprzespana noc zdziałała swoje. Organizm upominał się o swój dług i kapitan nie spostrzegł się nawet, jak zasnął twardo i dopiero szarpnięcie za ramię obudziło go. Nad nim stał elegancki komisarz Lawson.

— Więc pan jednak był pijany. Lepiej, że pan przespał. Alkohol wywietrzeje...

— Alkohol! Ja nic nie piłem.

— Powiedzmy. — Lawson nie usiadł nawet. — Przystępuję od razu do rzeczy, time is money! Zarządziłem sprawdzenie informacji przez pana podanych. I...

— Nareszcie! — ucieszył się Jaz.

— I miałem rację — rzekł komisarz chłodno. — Komandor Seldon Douglas — wyliczał na palcach — wyjechał do Europy i nie mógł wczoraj być na dancingu Petit Gourmet. Porucznik Richard Murray zaprzeczył, jakoby miał jakieś tajne akta w swym posiadaniu i zeznał, że nie zna kapitana Kenta, a tylko rozmawiał z panem. Miss Thelma Murray nie została wcale porwana. Jej ojciec mister Harold Murray otrzymał depeszę od córki, w której ona donosi, że zaręczyła się z długoletnim swym konkurentem, inspektorem Buddy Willsem i wyjechała na wycieczkę automobilową do Indiany. Jedno co się zgadza, to że Ranton nie żyje. Ale o tym zabójstwie pisali — jak się okazuje — we wszystkich gazetach i to nie jest dla nas żadną rewelacją.

Z wielkiego wrażenia Jazon nie mógł wydobyć ani sylaby z krtani i stracił na pewien czas zdolność rozsądnego myślenia.

— Pan dyrektor Montague Sedgwick — ciągnął komisarz z satysfakcją — zeznał, że spotkał panów na szosie i odwiózł swoim autem do Chicago z wdzięczności za to, że pomogliście mu podnieść wywrócony na ślizgawicy wóz. It is all.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 13 marca 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Wilna 10.30 Muzyka z płyt 12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi 13.10 „Jamioł" — nowela Henryka Sienkiewicza 13.30 Muzyka obiadowa (ze Lwowa) 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Koncert kameralny 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Teatr Wyobraźni: „Turniej w Perpignano" — reportaż imaginacyjny 19.35 Słynni wirtuozi (XIV audycja) 21.15 „Precz z kobietami" — wesoła audycja 22.00 „Opowieść o Beethovenie" (IV audycja) — „Nieśmiertelna kochanka."

Poniedziałek, dnia 14 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Muzyka z płyt 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Muzyka rozrywkowa w wykonaniu orkiestry mandolinistów 17.00 „Wpływ odkryć i wynalazków" — odczyt 17.15 Recital fortepianowy Seri Hr 18.10 Pieśni Luigi Denzy (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Dyskutujmy: „Czy organizacje kobiece mają rację bytu?" 20.00 Koncert rozrywkowy 22.00 Koncert wieczorny w wyk. orkiestry symfonicznej P. R.

Wtorek, dnia 15 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Śpiewają Ninon Vallin i Armand Crabbé (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Wielki samotnik — Jerzy Stephenson" — audycja dla dzieci 16.20 Koncert orkiestry Straży Więziennej 17.00 Wielki kanion rzeki Colorado — felieton 17.15 Muzyka kameralna 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Przy stoliku literackim" — gawęda młodych pisarzy 19.30 „Polska twórczość chóralna" 20.00 Koncert rozrywkowy 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" — Apolinary Szeluta 21.45 Melodie taneczne w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Środa, dnia 16 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Mendelssohn: fragmenty z muzyki do „Snu nocy letniej" 12.03 Audycja południowa 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Muzyka rozrywkowa (z Łodzi) 17.00 „Walka państwa z lotnictwem nieprzyjacielskim" — odczyt 17.15 Sonaty na wiolonczelę i fortepian — koncert z Torunia 18.10 Wiązanki jazzowe w wyk. orkiestry Louis Levy (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Operacja" — scena z powieści Rogera Martin du Gard 19.20 Nastrojowe piosenki wykona Vera Gran 19.35 „Samotność starości" — gawęda Starego Doktora 20.00 Koncert rozrywkowy (płyty) 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Haliny Sembrat 21.45 „Nieprzemijający urok poezji" — „Urok prymitywu" — kwadrans poetycki 22.00 Popularna muzyka operowa.

Czwartek, dnia 17 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Marsze i pieśni żołnierskie — poranek dla młodzieży 11.40 Gra Gaspar Cassado — wiolonczela (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży 16.15 Muzyka dwufortepianowa 17.00 Wiedza i książka: Nowe publikacje o współczesnych prądach filozoficznych — odczyt 17.15 Muzyka rozrywkowa (z Poznania) 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 „Ławina" — słuchowisko Rafała Malczewskiego 19.30 Piotr Czajkowski: fragmenty z baletu „Śpiąca królewna" (płyty) 20.00 Mozaika muzyczna 21.00 Koncert europejski z Irlandii 22.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki Józefa Czechowicza 22.15 Pieśni włoskie z końca XVI stulecia — koncert.

Piątek, dnia 18 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Stanisław Moniuszko: fragmenty z op. „Halka" (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Od szybki z okna do szklanych domów" — pogadanka 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 Zwiedzamy ośrodki zdrowia — felieton 17.15 Nasze pieśni — w wyk. Haleny Zbońskiej-Ruszkowskiej 18.10 Polskie tańce w obcej muzyce baletowej — koncert z płyt 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Komedie A. Fredry, wieczór VI „Pan Geldhab" 19.30 Pieśni w wyk. Chóru Akademickiego 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 19 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Utwory Ignacego Paderewskiego (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Teatr Wyobraźni „O kocie, który chodził własnymi drogami" — słuchowisko dla dzieci według R. Kiplinga 16.15 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 17.00 Fragment ze wspomnień Artura Śliwińskiego o Józefie Piłsudskim 17.15 „Od Aten do Bayreuth" — audycja VII 18.15 Polska muzyka rozrywkowa (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.50 Przemówienie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego, poświęcone Józefowi Piłsudskiemu 20.00 „Z naszej niwy" — koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R. 22.00 Koncert popularny w wyk. orkiestry wileńskiej.



KOMPLEMENT

— Pani jest jak słońce.
— Czy taka upalna?
— Nie tylko ja na panią patrzeć nie mogę.

CZAR SZTUKI

Z teatru wychodzą dwa typy i dzielą się wrażeniami z tego, co widzieli.

— Świetnie grał ten aktor, prawda? Jak krzyknął: „Łapać złodzieja!", to już chciałem uciekać.

U WRÓŻKI

Młody człowiek przychodzi do wróżki.
— Jak tam z chorobami? — pyta.
Wróżka rozkłada karty.
— Nie widzę przy panu choroby — oświadcza — nawet chorzy ludzie unikają pana.
Młody człowiek wzdycha.
— Właśnie. A ja jestem lekarzem.

POJEDYNEK

— Słuchaj Icek, ty mnie obraziłeś. Ja będę musiał ciebie wyzwać.
— Nu, dobrze, a jaką broń ty chcesz?
— Co jest jaką broń. Ja chcę ciebie wyzwać od ostatnich. Ty łajdaku, ty łobuzie, ty szachraju.

WARTOŚCIOWA RZECZ

— Czy mogę u pani stóp złożyć ten skromny dar.
— Nie panie! nie przyjmuję od mężczyzn żadnych prezentów.
— Ależ to są wiersze.
— A no to co innego, bo ja sądziłam, że to coś wartościowego.

JAKI OJCIEC TAKI SYN

Ogrodnik przyłapał małego chłopaka przy kradzieży jabłek.
— To ty taki mały i już kradniesz. Czekaj zaprowadzę cię do ojca, to dostaniesz lanie.
— Jak pan mnie zaprowadzi do ojca, kiedy ato jeszcze siedzą na drzewie — odpowiada chłopak.

BARDZO ŹLE

— Jakże czuje się pani mąż?
— O bardzo źle, proszę pani, nie może zupełnie ruszać się.
— Czy paraliż?
— Nie, kryminał.

W SZKOLE

— Ile nóg ma chrabąszcz?
— Mały Wojtuś po namyśle: pan profesor nie ma większego zmartwienia?...

W ROSJI SOWIECKIEJ

Piotr Pawłowicz idzie jedną z głównych ulic Moskwy i krzyczy:
— Precz z Sowietami!
G. P. U. aresztowało go i wsadziło na pół roku do więzienia. Gdy wypuszczono go, idąc ulicą miasta, krzyknął:
— Niech żyją Sowiety!
Zatrzymano go ponownie i zamknięto w zakładzie dla wariatów. Po pewnym czasie wypuszczono go i stamtąd. Szedł ulicą miasta i milczał, więc aresztowano go po raz trzeci.
— To milczenie jest podejrzane — powiedzieli agenci GPU — wy coś knujecie przeciwko Rosji Sowieckiej.
I Piotr Piotrowicz dostał kulę w łeb.

TYLKO TYLE

— Słyszałem, że masz honorową sprawę z Kaczkowskim.
— Ależ skądże...
— Jakto, przecież dostałeś od niego po pysku.
— Nie prawda! Tylko zrzucił mnie ze schodów.

NASZE DZIECI

— Mamusiu, czy ty mnie kochasz?
— Naturalnie, dziecino.
— No to rozwiedź się z tatusiem i wyjdź za mąż za właściciela cukierni.

ZNA SIĘ NA RZECZY

Lekarz: A więc musi pan przestać pić, palić i grać w karty.
Pacjent: Panie doktorze, czy tu przypadkowo nie była przed chwilą moja żona.

NIE ZROZUMIAŁA

— Ile razy pani się uśmiecha zawsze mam ochotę powiedzieć: „Przyjdź do mnie!".
— Ależ pan jest donżuanem.
— Broń Boże! Jestem dentystą.

CZAPKA

— Mały, zdejm czapkę!
— Kiedy ja nie mam czapki.
— A co masz na głowie?
— To czapka mojego brata.

PSUJE INTERES

Żebrak: Czy pani nie ma jakichś starych bucików?
Pani: Przecież macie na nogach jeszcze całkiem nowe.
Żebrak: Właśnie i to mi psuje cały interes.



— Proszę Pana, nie mogę pozwolić by Pan sobie stroił żarty kosztem mego męża.
— Ach przepraszam, myślałem, że to balon nagazowany...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę **miesięcznie** 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską **i za** granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, **Nr.** pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku **itp.,** wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, **a** prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca **obowiązuje** Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które **zasadniczo** nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia **ogłoszenia.** — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania **rachunku.** Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, **a nie** były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirenia Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.